

RODZINA POLSKA

MIEŚCZNIK ILUSTROWANY



PROSIMY O ŁADNĄ MINE DO FOTOGRAFJI.

WARSZAWA

<http://rcin.org.pl>

MARZEC—1933

ROK VII

NOWOŚĆ!

NOWOŚĆ!

O. PAWEŁ MANNA, Misj. Ap.

ZA MAŁO ŻNIWIARZY

Z przedmową J. E. Ks. D-ra ANTONIEGO JULJANA NOWOWIEJSKIEGO, arcybiskupa siljońskiego, biskupa płockiego, asystenta tronu papieskiego, Prezesa Związku Misyjnego Duchowieństwa w Polsce.

W przedmowie tej czytamy:

„Wprawdzie mówi się i pisze wiele o potrzebie Misyj, o środkach, które dają nam możliwość osiągnięcia pragnień serca nasze tłoczących, i o wielu innych rzeczach, które wskazują drogę do Misyj, ale takiej książki, któraby ujmowała wszystko w jednym dziele, nie mamy. Niechże więc ta książka, „Za mało żniwiarzy”, szerzy te pojęcia, które nas prowadzą do najszlachetniejszych celów na ziemi”.

Stron 272.

Cena zł. 2.40

Cenne źródło materiału do kazań i akademij misyjnych.

**WYDAWNICTWO KSIĘŻY PALLOTYNOW
WARSZAWA, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 71.**

**OKAZJA DO SPEŁNIENIA MARZEŃ CAŁEGO ŻYCIA!
JEDŹCIE NA WIELKANOC DO ZIEMI ŚWIĘTEJ**

**3 PIELGRZYMKA JUBILEUSZOWA
POLSKIEGO TOURING KLUBU.**

**POD PROTEKTORATEM I OSOBISTYM KIEROWNICTWEM
DUCHOWEM**

**J. EKSC. KS. BISKUPA DR. OKONIEWSKIEGO
ZE ZWIEDZENIEM KONSTANTYNOPOLA, ATEN I EGIPITU.**

CENA ZA UDZIAŁ — ZŁ. 1.350. —

Cena ta obejmuje: paszport zagraniczny i wszystkie wize, wszystkie przejazdy kolejowe, okrętowe, przejazdy do miejsc zwiedzanych, wszystkie koszty zwiedzania, pełne utrzymanie w czasie całej podróży, trwającej cały miesiąc, wszystkie naprawy, przewóz bagażowy i t. d.

Pielgrzymka zwiedzi: Konstantynopol, Ateny, Beyrouth, Haifę, Jerozolimę, Nazareth, Betleem, Tyberiade, Kafarnaum, Jerycho, Morze Martwe, Jordan, Jezioro Galilejskie, Tyberiadzkie, Tel Aviv, Nablus, — w Egipcie: Kairo, Heliopolis, Piramidy, Sfinks, Aleksandrię i t. d.

Techniczne przeprowadzenie w rękach Światowej Organizacji Podróży Wagons-Lits/Cook.

Zapisy przyjmuje i informacji udziela:

„PRZEGLĄD KATOLICKI” — Warszawa, Krakowskie-Przedmieście 71.

Koleje francuskie.

**PRZEDSTAWICIELSTWO WARSZAWA —
OSSOLIŃSKICH 3.**

Taryfa zniżkowa V. N. 101.

Karty miesięczne dające prawo do nabywania biletów ze zniżką 50%.

Taryfa niniejsza przewiduje wydawanie kart imiennych ważnych 1 miesiąc, dających prawo do nabywania biletów za połowę ceny normalnej, na wszystkich sieciach kolei francuskich, do wszystkich stacji, do których wydawane są bilety normalne na zasadzie obowiązujących taryf.

Istnieją karty trzech typów:

Karty A. dające prawo do nabywania biletów zniżkowych wszystkich klas.

Karty B. dające prawo do nabywania biletów zniżkowych 2-ej i 3-ej klasy.

Karty C. dające prawo do nabywania biletów zniżkowych 3-ej klasy.

Karty te wydawane są po cenach następujących:

A.	B.	C.
333.25 fr.	265.75 fr.	175.75 fr.

**CZYTAJCIE I ROZPOWSZECHNIJCIE MIESIĘCZNIK
„RODZINA POLSKA”**

**Najwyższy już czas odnowić
prenumeratę na I-szy kwartał**

Cena ogłoszeń zatekstowych: $\frac{1}{1}$ str. — zł. 700, $\frac{1}{2}$ — zł. 380, $\frac{1}{4}$ — zł. 200, $\frac{1}{8}$ — zł. 120, $\frac{1}{16}$ — zł. 70, $\frac{1}{32}$ — zł. 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZAGRANICĄ WYNOŚI:

RO CZ N I E:

Polska	A. 7	Czechosłowacja	kor. cz. 40
Niemcy	R. mk. 5	Ameryka	dolary 1.50
Francja	frank 25	Inne kraje	fr. szw. 7

PÓŁROCZNA prenumerata w Polsce — 3.50 zł.; KWARTALNA — 2.00 zł. Cena POJEDYŃCZEGO nr. — 70 gr.

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa, Krak. Przedmieście 71.

Telefony Administracji: 240-15 Redakcji 436-18, P. K. O. 14.664.

Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki od godz. 3—5 po poł. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

<http://rcin.org.pl>

RODZINA POLSKA



MIESIĘCZNIK
LUSTROWANY

ROK VII. WARSZAWA, MARZEC 1933.



Wojciech
1926

Wojciech.

Ulani.

KAPŁANI NA SYBIR

Duchowieństwo polskie złożyło prawdziwą hekatombę na rzecz powstania r. 1863. Dziesiątki poległych w ogniu partyzantki, rozstrzelanych, powieszonych, czy w najokropniejszy sposób żywcem zakopanych, to był ledwie zadatek tego nieprzebranego ogromu ofiar i cierpień, któremi kler katolicki opłacił i stwierdził swój patriotyzm.

Drugi akt tej wielkiej tragedii dziejowej rozegrał się na Sybirze na przestrzeni paru dziesiątków lat. O ile w pierwszym swym odruchu carskie okrucieństwo chciało zgnieść przemocą ducha narodowego, o tyle w dalszym ciągu wzięto się do metody szykan, do stwarzania różnych uciążliwości, do jątrzącego swą złośliwością prześladowania, które pogłębiało tę i tak straszliwą, i wyczerpującą duchowo otchłań wygnańczej samotności.

Carska sprawiedliwość rzuciła do syberyjskich katorg blisko sześćset kapłanów. Już sama podróż na Syberję kryła w sobie różne niebezpieczne „niespodzianki“. Ich cel? Łatwe usunięcie „niewygodnych osobistości“. Tak więc w wagonie, którym jechał ks. biskup Hryniewiecki niespodzianie zapada podłoga. Ks. biskup ocalał przypadkiem, przeszedłszy do innego przedziału. Albo znów kto nie słyszał o wypadku, że pan policmajster nakarmił raz biskupa-wygnańca Łubieńskiego takim kompotem, że zmarł prawie natychmiast. Przyczyna? — Arszenik (por. „Tunka“, str. 63).

Jakiż był los tych, co dojechali. Znaczna ich część odbyła katorgę, to znaczy została zapędzona do przymusowych ciężkich robót w kopalniach: Nerczyńska, Akatni, Usolska.

Przykuci do tacek, rzućni w ciemne wnętrza ziemi liczyli biedni skazańcy każdą godzinę. Aż wreszcie przyszedł rok 1866, przynosząc ukaz łaski carskiej. Katorga zamieniona na osiedlenie. Niewątpliwie było to ulgą. Świtać zaczęła nadzieja powrotu do kraju.

Lecz rząd postarał się przydeptać ten promyk nadziei, jedną ręką odbierając to, co drugą dawał. Miast wolności, „przyznano“ osiedlenie. Na osiedlenie wyznaczono Tunkę. Wielką kotline, pokrytą błotami nie zamarzającymi nawet w zimie, pełną chorobliwych wyziewów, rozsadtików malarji, skorbutu, tyfusu. Do tego przez samą naturę stworzonego więzienia, do tej wielkiej mogiły dla żywych, okrutna ręka caratu rzuciła 165 kapłanów.

Reszty dokonały rządowe rozporządzenia, oplatające jak siecią pajęczą całe życie biednych wygnańców.

Warunki istnienia w Tuncie były nadwyraz ciężkie. 7 miesięcy trwająca mroźna i śnieżna zima, stwarzała dla nieprzywykłych istne „białe piekło“, jak ktoś obrazowo powiedział. Dodajmy do tego nędzne warunki bytu. 3 ruble na miesiąc zapomogi rządowej nie na wiele starczyło.

Dozorca zesłańców tunkińskich, Płotnikow, pisze: „Wśród zesłańców znów znalazłem chorych. Co im jest? — pytam. — Już trzeci dzień nie jedliśmy“ — tak pisze carski urzędnik w oficjalnym raporcie.

To też z wycieńczenia umiera 17 stycznia 1871 r. ks. Kurkiewicz. A zapewne nie z rozkoszy traci zmysły ks. Wincenty Seremento 8 czerwca 1869 r. Podobnie ks. Grądzki.

Obok tych materialnych trudności rząd nie szczędził także szykan moralnych. Zabroniono więc księżom odprawiania codziennych Mszy św. Raz zaś na rok miał przybywać z Irkucka ks. proboszcz i odprawić dla nich nabożeństwo.

Co trzy miesiące wolno było pisywać listy do rodziny. Oczywiście korespondencja odwrotna była dokładnie przeglądana. Bardzo często konfiskowano listy i przesyłki pieniężne za to tylko, że w tytule było słowo „ksiądz“.

Na ten temat powstała rozległa „urzędowa“ wymiana opinii. Przyczem ks. Kluczewski zaproponował rządowi, by ogłosił, że pozbawia kapłanów tytułu „ksiądz“. Wspaniała to odpowiedź na niedorzeczne żądanie. Oczywiście rząd nie zrobił tego, zbyłby go to ośmieszyło przed Europą.

Środowisko, w którym znaleźli się nasi wygnańcy niewątpliwie pogłębiało ich ciężki los.

Mieszkańcy Tunki, to najciemniejsze elementy połańskich Burjatów, Kozaków, rozzuchwalonych do ostateczności, a wreszcie katorżników-zbrodniarzy.

Ich ciemnota równała się tylko ich okrucieństwu. Jego dowody odczuwali raz po raz nasi wygnańcy. Pobito więc ks. Grabowskiego. Zabito 17 czerwca 1872 r. ks. Pawłowski. „Sprawca nieznan“ — głosił raport 1 maja 1873 r. podpalono ks. Wasilewskiego.

Na cmentarzu w Tuncie szybko zaczęły wyrastać mogiły. W ciągu lat siedmiu dwadzieścia jedna trumna spoczęło tutaj. Najlepszy to chyba dowód jak nieogóścinną była ta ziemia i jak ciężki los tułaczy.

Żniwo śmierci było obfite.

Pod tym względem oczekiwania caratu, że buntownicy wymrą, spełniały się.

W jednej tylko dziedzinie zawiodły. Nie udało się rządowi złamać dusz kapłanów-wygnańców, nie udało się zachwiać ich wiary i gorliwości. Duch kapłański nie tylko się utrzymał, ale i wzmógł.

Polscy kapłani nie dali się ugiąć. Zorganizowali się więc gospodarczo, zakładając spółkę rolniczą i handlową. Stworzyli życie kulturalne, urządzając wieczory klubowe, a nawet akademje, m. in. urządzono w r. 1869 obchód dla uczczenia Unji Lubelskiej. Wśród wygnańców znalazł się także i pewien kapłan z Litwy, który też z wielkim zapalem przemawiał.

Carska przemoc nie wahała się przed niczem. Wśród wygnańców zesłano także siedemdziesięcioletniego ks. Onufrego Syrwidę z pod Lidy. Okuty w kajdany przeszedł on pieszo do Petersburga. Tam dopiero kazano go rozkuć i etapem zesłano na Sybir, gdzie koledzy wyjednali u władz zwolnienie od katorgi. Kazano mu wzamian zamiatać koszary. Spełniał to bez narzekania. Więcej, nie pozwolił się w tej pracy nikomu wyręczyć. Gołębiego serca świątobliwy ten starzec nie pozwalał wobec siebie przeklinać Moskali: „Trzeba się nad nimi raczej litować — mawiał — więcej oni krzywdzą siebie niż nas. Nasze cierpienia ojczyźnie przynoszą zaszczyt, ich okrucieństwo okrywa Rosję niesławą“.

Te wymowne słowa niech starczą za odpowiedź, jaką była rola kapłana w powstaniu r. 1863.

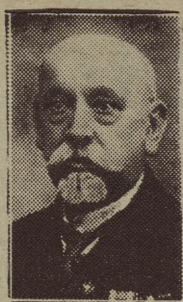
OSTATNI CHORĄŻOWIE IDEI 1863 ROKU



Wiktor
Malewski



Adam
Maciejowski



Wiktor
Inż. Lepkowski



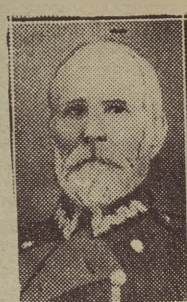
Michał
Krzysztofek



Tomasz
Kulczycki



Józef
Grzywiński



Franciszek
Stankiewicz



Gustaw
Jakubowski



Marja
Betkowska



Florjan
Świderski



Leopold Lubicz-
Chojnowski



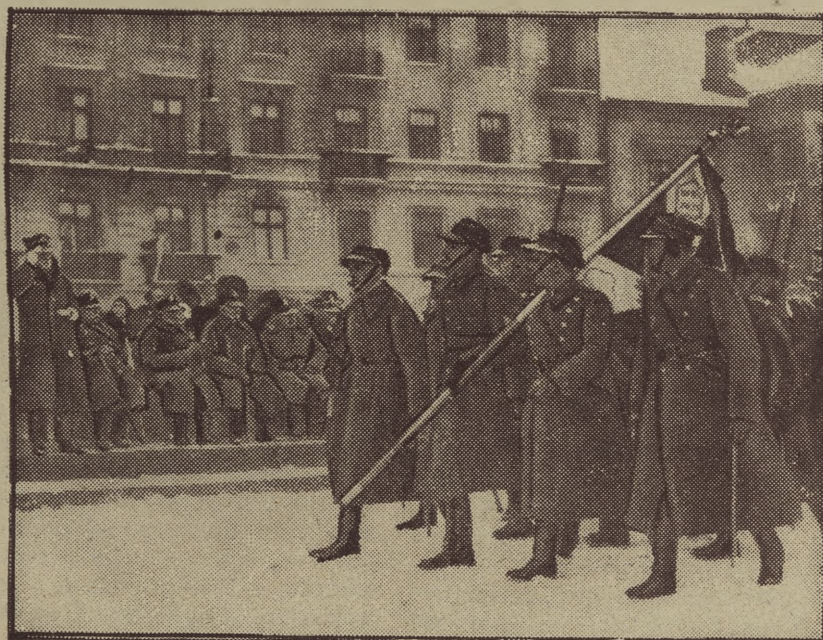
Franciszek
Wilkowski



Walenty
Adamski



Józef
Wolski



Defilada kompanij honorowych na placu Zamkowym przed weteranami
1863 r. na uroczystości 70-lecia wybuchu powstania.



Leon
Hertz



Marja
Herdin



Oppeln-
Bronikowski



Jan
Wojtkiewicz



Walenty
Milczarski



Feliks
Sobolewski



<http://rcin.org.pl>
Antoni
Oksza-Strzałeczki



Olimp
Leśkiewicz



Stanisław
Grabowski



Ludwik
Królikowski

WYRĄBANY CHODNIK*)

Wśród powodzi literatury „psychologicznej”, czyli opisującej przeważnie szare, jednostkowe losy szarych ludzi, bez szerszego tchu, poprostu jak meteo-olśniewający ukazała się książka Morcinka o Górnym Śląsku. Nie jest to tylko dzieło literatury; jest to płat życia polskiego, ociekający krwią i łzami, jest to pomnik męczeństwa ludu śląskiego, i twardego jego wytrwania, i hardego zwycięstwa. W książce tej skupione są jak w soczewce, ważniejsze momenty ostatniego okresu życia Górnego Śląska, okresu, w którym prastara dzielnica piastowska wracała do Macierzy.

Jest to i epopeja regionalna także mająca znaczenie dla Śląska, jak „Chłopi” Reymonta dla Łowickiego, i hymn patriotyzmu, i okrzyk zwycięstwa...

W Polsce Niepodległej zabrakło miejsca na patriotyzm. Było zmęczenie patriotyzmem, „bohaterszczyzną”, mesjanizmem polskim. Próbowano przeciwstawić temu („Przedwiośnie”, „Czarne Skrzydła” Kadena-Bandrowskiego) dążenia socjalne, ścierające się z racją państwa polskiego, nie mogącego nadażyć z reformami socjalnymi i wychowaniem etycznym narodu. A jednak ta „bohaterszczyzna” i patriotyzm, omijane i odrzucane od czasów błaznującego podczas wojny Pika-dora aż do czasów „Wiadomości Literackich”, zastępowane wybuchami buntu socjalnego albo międzynarodowego, najnieszcześliwiej pojętego pacyfizmu konieczne są dla skupienia, zjednoczenia narodu, dla dania mu siły odpornej wobec złych potęg, wciąż zagrażających jego istnieniu. I książka Morcinka jest odzwierciedleniem wciąż bijącego serca narodu z kresów, tym razem zachodnich. Bowiem na kresach, gdzie rozgrywa się walka żywiołu polskiego o istnienie, nasilenie patriotyzmu z natury rzeczy zawsze jest silniejsze.

Jako utwór literacki, książka Morcinka przynosi przedewszystkiem bryły całe z drogocennej kalizny językowej, piastowskiej, muzealnej, które drzemały przez wieki, przytłoczone jałowymi warstwami germanizmu. Raduje się dusza, czytając te jędrne archaizmy, sprzęgnięte najorganiczniej z istotą mowy polskiej. Jak Żeromski, jak Jerzy Kaden-Bandrowski, wcielili do języka literackiego skarby pra-lechickie z gwary kaszubskiej, jak uczynili to samo Tetmajer i Orkan dla gwary podhalańskiej, tak teraz Kossak-Szczucka i Morcinek wzbogacili język literacki gwarą górnośląską.

Oryginalność i bogactwo tego języka działałoby polywajaco. To, co było błędą zapowiedzią w powieści Morcinka „Dwaj bracia”, tutaj stało się oprowadzaniem grubymi linjami, uwypuklone wspaniałem cieniowaniem i układem barw. Jak w „Nawracaniu Judasza” Żeromskiego, autor usiłuje oddać czytelnikowi, nazwać po imieniu, określić „do imentu” każdą pracę i każde narzędzie pracy człowieka. Najwięcej tego jest, oczywiście, z zakresu „hawierni”, kopalni węgla. Jest to objawem wlewania się światła pracy do literatury w związku ze wzmagającym się jego znaczeniem w życiu ogólnonarodowym.

Powieść śląska i dlatego musiała wywodzić świat pracy, gdyż ludność tam jeszcze mało miała i mądrej inteligencji. Bohaterem walki z Niemcami był

polski chłop, polski robotnik. Z książki Morcinka poznajemy głębokie wartości, niespożytą siłę Ślązaka, człowiek z żelaza, o sercu miękkim, o głębokim umiłowaniu swojszczyzny, pracowity, oszczędny, rzetelny w życiu rodzinnym i społecznym, religijny — takim jest Ślązak.

Autor zaznaczył obok tego wielki udział duchowieństwa polskiego, w rozbudzeniu życia narodowego na Śląsku i głęboką spójnię jego i autorytet wśród ludu. Niektóre momenty nabożeństw uroczystych, pierwszej komunji dzieci itd. pełne są prawdziwego uczucia religijnego. W książce o takim nastawieniu zgrzytliwymi są niektóre sceny naturalistyczno-sprośne, w stylu Kadena-Bandrowskiego lub Anatola Sterna, polskich wielbicieli Erenburga. Zbytecznym też się zdaje takie przedstawienie dziewcząt śląskich, jakoby najłepsze z nich nie miały cierpliwości doczekać się ślubu.

Uderza nas wnikliwa psychologia natur pierwotnych, nieskomplikowanych, płomiennych w umiłowaniu i nienawiści, przylegających do dóbr materialnych, jak mięczak do skały, lecz odrywających się od niej i płynących na obszary, gdy zawoła idea, przywiązanie do ziemicy śląskiej. Mniej w niej jest odcieni, niema w niej wcale literatury, więcej w niej odruchu niż refleksji, jednak czyż tak jest różna od uczuciowości inteligenta?

Naturalizm autora ujawnił się i w opisach wojny np., zdobycia fortu Douaumont. To już przypomina Barbusse'a, Duhamel'a, Remarque'a. Mniej potwornych momentów jest w opisanu powstania śląskiego. Tu silna nuta „bohaterszczyzny” uderza i ożywia. Osłabła ona wśród niedojadania krzysowego, wśród wpływu prądów rozkładowych. A tymczasem jest ona więzią życia zbiorowego, cementem, spajającym cegły w budowę. Bez porywu miłości i ofiary nie może naród ostać się, jako taki.

Gdyby nie to poczucie narodowości, nie byłoby ludzie ciemieni i poniewierani, krzywdzeni materialnie i moralnie, wybiłi wytrwale chodnik, łączący oderwaną dzielnicą z Macierzą. Prześliczny symbol znalazł Morcinek — tyleż w nim siły, co poezji.

Książka ta mimowoli dała wygiąć swą linię artystyczną tendencji, Morcinkowi chodziło o skreślenie obrazu całego życia śląskiego w niewoli i zwycięskiego powstania. Dlatego wkleja on w swą narrację wiadomości z historii Śląska, nieraz z jego polkloru, wspomina o zasłużonych działaczach śląskich. To samo czynił Żeromski np. w „Popiołach”, kiedy przejmował się okresem legjonów, wstydjowywał się w niego tak, że mózg jego nie mógł się ostrząsnąć od faktów, które przeżywał w bólu i upojeniu. Nazywał on te „gliną” nieuforną wśród uposażonych części książki.

Książka ta powinna być dawno przetłumaczona i robić dla nas propagandę zagranicą. Powinien przypominać o odwiecznych krzywdach, zadanych przez Niemców, powinien stawiać przed oczy Europy prawa ludu śląskiego do niezawisłości, do własnej wiary i języka, powinien krzyczeć o tem, że ta ziemia nigdy niemiecką nie była i nie będzie!

Wspaniała ta epopeja — to dar kosztowny Śląska dla Macierzy, która go odzyskała po wiekach, by nigdy już nie utracić.

Anna Zahorska.

*) Gustaw Morcinek, Wyrąbany chodnik, Cieszyn, Nakł. Księg. „Dziedzictwo”.

JAN TARŁO

WÓDZ NACZELNY PIERWSZEGO POWSTANIA —
WOJNY O NIEPODLEGŁOŚĆ.

(W dwusetną rocznicę: 1733—1933 roku).

Gdy celem wojny jest niepodległość kraju, a na czele zbrojnych staje wódz, odznaczający się genjuszem i popularnością, a obok czynów oręża głoszone są i urzeczywistniane hasła polityczne, społeczne, to podjęte przez naród tak wielkie dzieło jest Powstaniem: walką o wolność duchową i materialną.

Wszystkie znamiona późniejszych bojów o niepodległość miała wojna t. zw. „sukcesyjna” między Polską, a cesarstwem niemieckim wspieranem przez Rosję, gdy uchronienie naszej Ojczyzny od drapieżności sąsiadów zawdzięczaliśmy wówczas polskiemu Wodzowi Naczelnemu, którym był Jan Tarło.

Leżące dotąd odłogiem opracowanie dokładne dziejów naszych pierwszej połowy osiemnastego stulecia, rażąco zaniedbane w porównaniu ze studjami nad epoką Stanisława Augusta, nie mówiąc już o czasach pokościuszkowskich (legjony, rok 1831, 1863 ect), musi dać nam dokładne opisy bitew wielotysięcznych armij, na froncie między Karpatami i Bałtykiem, Śląskiem i Dnieprem, gdzie Polacy zwyciężali wtedy generałów Birkholza, von Szybilsky'ego, Diemara

Bitwy pod Mszaną, Czorsztynem, Miechowem, Wuckowem, pod miastem Wartą, Puszczukowem, Białącerkwią były odpowiedzią Narodu Polskiego na germańsko-moskiewski najazd, gwałcący prawo samostanowienia Polaków w swoim własnym domu, gdy chcieli sami naprawiać ustrój państwa i królem mieć zgodnie obranego Stanisława Leszczyńskiego, a nie Fryderyka-Augusta kurfirsta Saksonji, który obiecawszy sute zapłaty sprowadził sobie na pomoc 40 000 Moskałów i drugie tyle żołdaków cesarsko-niemieckich, elektorsko-saskich i naiemnych.

Po dwuletnich przeszło dyplomacyzowaniach i bojach (1 lutego 1733 r. — marzec 1736), wróg nie uszczknął ani kawałeczka polskiej ziemi, a jedynie słaba pomoc wojskowa (później nawet zdrada polityczna), sprzymierzonego z Polską bezwstydnego Ludwika XV francuskiego oraz niedołość figuranta — króla Stanisława Leszczyńskiego, przedwcześnie abdykującego, nie dozwoliły w całej pełni osiągnąć zmian, które jednak później, w pracy polityczno-społecznej osiągnął sam, i przez swych uczniów, polski ówczesny wódz naczelny, bohater, największy polski mąż stanu 18-go wieku: Jan Tarło.

I znów studia nad dziejami polskiej dyplomacji, oświaty, rozwoju ekonomicznego powiodą nas ku Janowi Tarłowi, który zwalczał liberum veto i obce intrygi, głosił hasło samowystarczalności gospodarczej, dał na owe czasy olbrzymią sumę 304 tysiące złotych, fundując słynne Collegium Nobilium w Warszawie, na którego czele postawił znanego pedagoga ks. Stanisława Konarskiego, poruczywszy jego bratu, Ignacemu Konarskiemu prowadzenie pierwszej w Polsce szkoły zawodowej techniczno-rzemieślniczej, założonej przez Tarłów w m. Opolu lubelskim.

Utrzymując swoim kosztem króla Stanisława Leszczyńskiego, całe pułki wojska, naprawiając fortece Kamieniec Podolski i Okopy św. Trójcy, Jan Tarło zrzekł się na rzecz Państwa Polskiego, przyznanego mu przez skarb, zwrotu miliona dwustu tysięcy złotych,



a ponadto legował dwa miliony sto dziewięćdziesiąt tysięcy złotych na fundacje szpitali, szkół i fabryk w całej Polsce, a to dlatego, jak pisał w akcie ofiarodawczym: „Żeby ubogich po ulicach leżących zbierano, okrywano, żeby scandalum in Christianitate nie było”.

Własne dziedziczne dobra sprzedawał i zastawiał Jan Tarło, aby nieobciążając państwa, przeprowadzić, wówczas nadzwyczaj kosztowne, układy i pełne przepychu legacje do Rzymu, dla zawarcia konkordatu ze Stolicą Apostolską, co pomyślnie wykonał w 1726 r.

Ówczesny historyk — pisze o Janie Tarłowie, że „z funkcji, które na sobie utrzymywał poznać jego zasługi w Ojczyźnie... Żadnej w Ojczyźnie okoliczności publicznego interesu nie było, którego by on albo nie dotarł zupełnie albo nie ułacnił”.

Był Jan Tarło starostą kamienieckim, łatyckowskim, medyckim, sokalskim, marszałkiem trybunału koronnego, podstolim W. Ks. Litewskiego, potem wojewoda lubelskim, generałem lejtnantem, prezesem komisji skarbowej, deputatem do układania konstytucji; w 1736 r., objął województwo sandomierskie. W czasie wojny władniejszy od królów elekcyjnych, zawsze ze wzajemnością, kochał i był kochany przez cały naród, wszędzie stany. Jak świadczą współcześni, był najpopularniejszym człowiekiem w Polsce.

Troszczył się o szkoły dla dzieci wieśniaczych, opiekował się losem mieszczan Kamieńca zniszczonego przez rozruchy Podola, które wzbogacił, uspokoił, objąwszy godność Generała Ziemi Podolskich.

W ostatnich potomkach istnieje dziś ród Tarłów, będący wzorem cnót rodzinnych, który wydał 24 senatorów, a wśród nich Bartłomieja Tarłę, późniejszego biskupa poznańskiego, fundatora szpitala św. Rocha w Warszawie; Jana Tarłę, biskupa kijowskiego; Piotra Tarłę, opata i potem biskupa, żyjącego w 18-ym wieku; przedtem Paweł Tarło był arcybiskupem lwowskim. Jan Tarło, w 15-ym stuleciu, pielgrzym po Ziemi Świętej, gdzie zmarł „ślady stóp Chrystusa łzami oblewając”.

M. G.

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

COŻ JEST CZŁOWIEK?...

Wygrana na lutni Króla-Proroka księga psalmów zamyka w sobie istne perły myśli i natchnienia. Myśli, ogarniającej wszystkie dziedziny, życia ziemi, natchnienia zstępującego z niebios.

Jeden z piękniejszych psalmów opiewa chwałę człowieka, zestawiając go ze Stwórcą, aniołami i wszechświatem:

*Panie nasz, Panie! Jak dziwne Twe Imię!
Po całej ziemi swe czary rozlewa!
Chwała Twa — wyższa nad niebo olbrzymie —
Przez usta ssących i niemowląt śpiewa
Naprzekór wrogom doskonałość Twoją...
A wróg i mściciel tych głosów się boją! —*

*Patrzę na niebo... Lśni rąk Twych robota,
Księżyc piękniejszy od szczerego złota;
Goreją gwiazdy, któreś Ty zapalał,
Gdyś fundamenty wszechświata ustalal...*

*A cóż jest człowiek, że masz go w pamięci,
Że go nawiedzasz i dzierżysz w swej pieczy?!
Z ręki Twojej wyszli aniołowie święci...
Mało co mniejszy od nich syn człowieczy!
Sam czią i chwałą go koronowałeś
I nad dziełami rąk swych władzę dałeś! —*

*Wszystko złożyłeś w proch pod jego stopy.
I woły w jarzmie i owieczek stada,
Ptactwo, co niebios rozśpiewuje stropy,
I bezlik zwierza, co na polu jada,
I ryby morza i morskie potwory,
Co przechadzają się przez wód otchłanie...*

*Jak dziwne Imię Twe, nasz wieczny Panie!
Na ziem okręgu, nad niebios przestwory! —*
(Ps. 8).

Z piękna słów natchnionych, jak z rozlewnego jeziora, spowitego tajemniczo welonem tumanów, wychyla się ku nam postać dziwnie imponująca. Postać istoty mało co mniejszej od aniołów, istoty, ukoronowanej czią i chwałą, uposażonej władzą — bezsporną — nad wszystkimi dziełami rąk bożych. Sam Pan go nawiedza, ma go w nieustannej pamięci i dzierży w swej pieczy. Oto jest on — syn człowieczy!...

A jak Pismo św. tak i ludzkość sądziła sama o sobie, ogarniając naturalnym rozumem swą istotę człowieczą. Jeden z najsubtelniejszych narodów świata — Grecy starożytni — nazwali człowieka „mikrokosmos” — świat w miniaturze, świat w streszczeniu.

Jakoż istotnie, ze wszystkimi jestestwami wszechświata ma człowiek coś wspólnego. Posiada byt i zalety przyrody nieżywej, jak kamienie i wody. Piastuje w swem łonie życie, jak rośliny, czucie, jak zwierzęta, rozum i wolę, jak aniołowie. (Św. Grzegorz Wielki). Niemasz istoty, której podobieństwa w człowieku dopatrzećby się nie można.

I tak dokonywa się w człowieku, jakby powiązanie w jednym, węzłowym punkcie wszystkiego, zamknięcie

w jednym organie dwu przeogromnych światów — materialnego i niematerialnego. Przezeń odbija się jakby w soczewce cudownej skryształizowana w jednym, uchwytnym obrazie — nieskończoność.

Nietylko bowiem wszechświat stworzony wiąże w sobie człowiek. On w pewien przedziwny sposób dotyka Stwórcy. Nosi wyciśnięty na rozumie swym i woli, — niezatarty obraz i podobieństwo Boga.

Mały — a jakże wielki!... Zaiste „mikrokosmos“... Potysiąckroć mniejszy od świata, a jednak większy od niego, bo — pan świata...

Należy jednak odszukać, wskazać i ustalić w całej jego tak dziwnej istocie, niezaprzeczonego punkt wielkości.

Nie wszystko bowiem w człowieku jest wielkie. I natchniony psalmista widzi to, tylko milczeniem pomija, a raczej pokrywa zdziwionem pytaniem, że tak lichą istotę Bóg taką czią ozdabia. I przedewszystkiem widzi to na każdym kroku sam człowiek, jak miżerny jest i mały. Nie waha się raz po raz nazywać siebie nicością.

Gdzie zatem w nim oparcie dla wielkości spoczywa, a gdzie tkwi źródło nicestwa?

Dwa światy, wzajem obce sobie i dalekie, nosi w swem łonie człowiek: świat ciała i świat ducha. W ciele jego tkwi źródło nicości, w duchu spoczywa jego wielkość.

Patrzmy tylko, jak się ten proces odbywa.

Ciało, organizm ludzki, powstaje z odrobiny materji, której ogromy, wprost nieogarnione, zaludniają gwiazdne przestwory. Człowiek zwolna rośnie, pobiera nieco więcej materji z otaczającego świata dla siebie, lecz nie bierze jej bez końca i miary. Posiada miarę ustaloną, poza którą nie wykracza. Miarę bardzo nikłą i niewielką. Stąd jego małość. Ogrom materji wszechświata w nim się niejako kurczy, jemu się oddając — unicestwia wielkość swoją. I potem ta licha garstka materji — nie dziw — że bardziej jeszcze maleje, bo się rozkrusza i umiera. Oto źródło małości człowieka — ciało. Oto punkt jego nicestwa.

Duch rośnie inaczej, ujawniając w swem rośnięciu właśnie zasadę wielkości. Z nieskończonych rejonów wszechświata czerpać może poznanie bez końca, bez miary. Im więcej, tem lepiej. Nie obciąża go prawda, nie lęka się nieskończonych jej dróg. owszem, tęskne ku nim obraca źrenice. Zaczyna od zera, podobnie jak ciało człowieka, zaczyna od abecadła, ale nie staje w pół drogi. Idzie w nieskończoność.

Kto zatem na ducha kładzie akcent, na jego rozbudowę, jego rozkwit nieustanny — ten ukazuje sobie, narodowi, ludzkości drogę wielkich. A kto kładzie nadmierny nacisk na ciało — wkracza na drogę nicestwa. I na drogę nicestwa sprowadza narody.

W dziejach tylko jedna jedyna instytucja stale i konsekwentnie kładzie nacisk na ducha: — Kościół katolicki. Każę ducha budzić, ducha pielęgnować, rozbudowywać, uszlachetniać, wzmacniać, oczyszczać przynajmniej raz w roku, i przyozdabiać na wzór Te-go, na którego obraz został uczyniony.

B I E D A



Reportaż z Katowic.

Pracujemy na Bieda-szybach.

Jeden z dziennikarzy postanowił zwiedzić śląskie bieda-szyby. Największe znajdują się na Welnowcu. A właściwie znajdowały, gdyż przystąpiono już do energicznej ich likwidacji.

O świtaniu rojno tu na tej ziemi płaskiej i porytej szychtami. W jedną z takich szycht windą na drewniku opuścił się nasz dziennikarz.

Oddajmy mu głos.

Z trudem rozróżniłem sylwetki obu robotników, którzy już „ładują” węgiel do kubła i świeży znów „transport” w górę windują.

Wreszcie pył opada trochę, przyglądam się podziemnej jaskini. Patrzę na lśniące od mdłego światła ściany, na strop też niezmiernie podparty...

— Dlaczego nie podpieracie ścian?
— rzucam pytanie.

— To się nie łąpaci! — odpowiadają. — Niedługo wybierzemy wszystkich węgier!

— A nie obawiacie się tak pracować?

— Czego? Jak człowiekowi sążone, to umrze choćby na środku ulicy. Na pierwszym szybie, co my kopali, było podparte nawet dosyć gęsto, ale grunt też tam był piaszczysty, tu co inkszego, ziemia trzymie się mocno i nic nom się nie stanie!

— W tamtym „szybie” mnieby wnet zasulo — opowiada drugi. — Robia się w nojlepsze, a tu naroz, tak jakby cosik zawiało. Zrobiło mi się aże zimno, patrza — jedna, druga belka, gnie się choćby patyk i skręco niby świder... cosik piszczy, płacze, czy co — myśla se.. Jeszcze chciółech więcyj łobocyć, a tu ci nagle jak nie praśnie kajsik, a jo fuk do liny i — na wyrch... To mnie uratowało... Ja, padółech se — ciekawym tak zawsze... Szkoda było tego „szybu”, bo wągło tam dosyć było, cóż, kiej ziemia słabo...

Przy „głównej” drodze pojazdowej stały budy i kramiki z kiebasą, bułkami, napojami chłodzącymi, z czego górnicy chętnie korzystali.

Robotnicy na „bieda-szybach” żyją pod nieustanną grozą śmierci. Ziemia tworzyła tu olbrzymie zawaliska, a codziennie nieomal zdarzały się nieszczęśliwe wypadki.

Już kilku poświęciło swoje życie, wśród nich młodzi i pełni zapału do pracy ludzie. Okaleczenia zaś mniej lub więcej groźne były na porządku dziennym.

Ostatnio policja zakazała kopania i teren przy „Agnieszce” opustoszał. Jedynie ziemia, zryta jakby po katastrofie trzęsienia, świadczy, że kiedyś panował tu ruch i życie.

Bezrobotni przenieśli się na inne miejsca, mniej znane, bądź też zaprzestali, zupełnie kopania.

Mówią o istnieniu „bieda-szybów” przy hucie „Szellera”.

Jedni „otwierają” szybiki i zaledwie parę metrów wykopali, dalej nieco już w najlepsze wydobywają węgiel, a zno-

wu inni na głębokości dwudziestu metrów jeszcze go nie mają. Są jednak przy pełnej nadziei, że uda im się przecież dotrzeć do upragnionego węgla.

Spotyka się grupy pracujących dzieci.

Nawiązaliśmy rozmowę ze „starym hajerem” (rębaczem), doświadczonym górnikiem. Na jego propozycję zjeżdżam do wnętrza „szybu”. Oczywiście czynię to początkowo z pewną obawą; gdy sobie bowiem przypominam wjazd do „szybu” w Welnowcu, nie bardzo mi się uśmiecha tego rodzaju — „eskapada”. „Hajer” mnie jednak zapewnia, że nie jest głęboko, bo „tylko” — osiemnaście metrów... A to przecież nic!...

Sadowię się wreszcie na kawałku drzewa, trzymam się liny i powoli zjeżdżam...

Oglądam się Wszystko w porządku. Szyb zabezpieczony tęgimi belkami. Nie darmo, tu „dyrektorem” doświadczony górnik, co zna roboty. Kopia już przecież dwa miesiące, urządzenie więc musi być odpowiednie.

Jestem wreszcie u celu i — staję naprawdę zdziwiony. Odniosłem wrażenie, że znajduję się w tej chwili w podziemiach prawdziwej — kopalni!...

Robota pierwszorzędna, fachowa. Liczne podparcia z grubych „okraglaków” zabezpieczają, jako tako, przynajmniej na pewien czas ludzkie życie; znajdują się tu długie korytarze główne — a dopiero z bocznych, mniejszych, wydobywa się węgiel. Pracuje tu kilku bezrobotnych. Jedni mają nocną „szychtę”, drudzy dzienną.

Na boku stoi kilka taczek.

— To są nasze wózki! — objaśnia z dumą.

— Jednak, jednak — mówię mu — jest to praca nadwyrzaz niebezpieczna.

— Co robić! — odpowiada ze wzruszeniem ramion — żyć trzeba!

S Z Y B Y



Z obiadem na Bieda-szyby.

RZECZY NATURALNE I PRAWO NATURY

Jak to jest w krytyce ładnej, kiedy krytyk z tematu spadnie.

Moja książka „Zmysły na licytacji”, wywołała na łamach „Wiadomości Literackich” istną burzę ataków, na które zresztą już odpowiadałem m. in. w nr 9 „Rodziny Polskiej”. Obecnie chcę omówić jeden z problemów, poruszonych przez mych przeciwników.

P. Hulka-Laskowski zaczyna atak na moje „Zmysły na licytacji” od próby streszczenia książki, świadczącej o jej niezrozumieniu mimo, że jak widać autor przejrzał ją od deski do deski.

Następnie na podrywkę wysuwa autor szereg kwestyj spornych. A więc najpierw „prawo natury” i moja jego interpretacja. P. Laskowski kwestjonuje w ślad za Goethem podział na rzeczy naturalne i nienaturalne. Rzeczy przeciwnaturalne są także częścią natury twierdzi.

Oczywiście! Tu nie ma o czym mówić! Ja zresztą takiego podziału nie akceptuję. Dla mnie karzeł i olbrzym są tak samo naturalni lub nienaturalni, jak kto woli, jak i przeciętni średniacy.

Naturalny czy nienaturalny jest dla mnie p. Boy jak i ks. Baka, choć jeden jest kandydatem do oficjalnych laurów, a drugi ma być ponoć przedstawicielem ciemnogrodu.

Więc o co chodzi?

O prawo natury.

O coś, czemu ulega zarówno Dawid jak Goljał, Boy jak Baka. Np. wszyscy oni musieli się urodzić w ustalony przez naturę sposób.

P. Laskowski uśmiecha się „pod wąsem” z tego zrównania in momento nascendi. Tak jest, jesteśmy co do istotnej treści przebiegu życiowego wszyscy równi. Musimy się rodzić, jeśli mamy żyć, musimy umrzeć, skoro żyjemy. Periculum mortis — to jest kwintessencja demokracji.

Nic na to nie poradzi ani Boy, ani Skiwski z całą swą fanaberyjną kazuistyką.

Musimy, ale nie koniecznie!

Czy Napoleon narodziłby się?

Prawo natury można zahamować w jego działaniu. Tu jest pole popisu wolnej woli człowieka

Oto parę przykładów.

Gdyby hasło einkindersystem zostało zastosowane w środowisku, w którym żył Kochanowski lub Napoleon, nie mielibyśmy ani jednego ani drugiego, ponieważ Kochanowski był dwunastym, a Napoleon ósmym dzieckiem. Kto wie, czy nie byłoby to lepiej. Chociaż zapewne nie spodobałoby się to Emilowi Ludwigowi, który za swe monografie o Napoleonie, Bismarcku czy kajzerze dorobił się willi nad jednym ze szwajcarskich jezior. Przy systemie jednego dziecka nie byłoby żadnej z tych ofiar portretów literackich utalentowanego żydka.

Powyżej wypowiedziane uwagi w żadnym wypadku nie mogą być zapisane na rachunek „niezrozumienia” problemu ograniczenia przyrostu naturalnego. Ani przez chwilę nie mieliśmy zamiaru twierdzenia, że ograniczanie urodzeń jest wogóle niedopuszczalne. Owszem, jest dopuszczalne! Słyszczę już radość po tamtej stronie! Zawsze, zawsze! Jest tu małe ale... To ograniczenie

nastąpić może jedynie w wypadku zachowania wstrzeźliwości płciowej. Tak zresztą pojmował tę rzecz i sam Malthus. Lecz inaczej pojmują ją wszyscy neomaltuzjaniści, a w tej liczbie Boy. Oddzielają oni przyjemność od obowiązku, uważają, że kantowska „rzecz sama w sobie”, to przedewszystkiem jest rozkosz płciowa. A rezultat? Oplakany. Natura niezna takiego podziału. Więc też rodzą się „niepotrzebne dzieci”, których nikt nietyko nie oczekuje, ale nikt nie chce. Sprzysiężenie niechęci przeciw dziecku wiąże się przytem z apoteozą swobody erotycznej. Ta nie jest uciążliwa, uciążliwe są tylko noworodki.

Przypuśćmy jednak, że nie doszło do urodzenia tych „wielkich” ludzi nie na skutek wstrzeźliwości rodziców, lecz w wyniku spędzenia płodu!

Co w takim wypadku?

Według dawnego kodeksu, który nawet życie w łonie matki bierze pod swą opiekę i płód uważa za indywiduum — mielibyśmy do czynienia z przestępstwem. A pojęcie przestępstwa występuje tutaj w stosunku do „ius naturale”.

Zawiązujący się płód ma prawo do pełnienia poczynającego się istnienia. Kto mu w tem przeszkodzi, ten działa contra naturam.

Projekt polskiego kodeksu karnego i jego wzory zagraniczne, nie uznaje jednak absolutnej racji tego prawa.

Względy eugeniczne, społeczne etc. mogą wystarczyć dla przecięcia zawiązanej egzystencji.

Jeśli logika obowiązuje, to zapytajmy się dlaczego nie można zgładzić zbędnych starców, albo 20 milionów bezrobotnych.

Byłoby to zupełnie proste rozwiązanie kwestji społecznej.

Jazda na czwartym biegu.

Gdzie tkwi błąd?

W uroszczeniu człowieka do konjunkturnego ograniczania mocy prawa natury.

Przyjemność owszem, dać życie nowej istocie — możliwe, byle tylko nie dopuścić do noworodka. A ostatecznie noworodka można też zrzucić ze skały Tarpejskiej lub do kanalizacji warszawskiej z biletem wołnej jazdy bez paszportu do Gdańska.

Słowem najpierw jazda na czwartym biegu, a potem hamulec na cztery koła. Najczęściej też wóz zarzuca i wraz z pasażerką wali się do rowu.

Dlaczego?

Dlatego, że natura stworzyła cały organizm kobiety nie do sztucznych poronień, lecz do rodzenia. A skoro do rodzenia, to i do wychowywania. Bo przecież ludzki noworodek pozostawiony sam sobie musi zginąć. Natura zaś działa rozsądnie. W swej zasadzie dąży do rozrostu, każda przedwczesna śmierć jest katastrofą.

To znaczy, że śmierć w samą porę nie jest katastrofą? Tak jest!

Śmierć noworodka jest katastrofą, śmierć starca jest logicznym zamknięciem kołobieżu życia. Kto więc bierze na siebie odpowiedzialność za zniszczone życie noworodka musi wiedzieć, że jest to contra naturam.

I ta odpowiedzialność dotyczy nietylko poronień, czy dziełek zaduszonych w kloakach. Dotyczy ona do pew-

nego stopnia wszystkich zmarłych przedwcześnie z winy niedostatku czy niedozoru.

Człowiek o nieco potężniejszej niż p. Boy lub Hulka wyobraźni, mógłby się przerazić ogromem powstającej stąd krzywdy, której się nagromadziło w atmosferze świata od wieków całych!

A los żywych cherlaków, milionów nędzarzy, bezrobotnych, którym wyrwano ich szansę życia.

Oczywiście nie zamykamy oczu na to, że np. fakt istnienia różnych „cherlaków” jest wynikiem nieopanowania życia rodzajowego. Lecz rozwiązanie tego problemu leży, naszym zdaniem, nie w mechanicznym, a moralnym ustosunkowaniu się. Człowiek niezdolny do wydania zdrowego potomstwa, człowiek niezdolny do zabezpieczenia mu bytu — ma jedyne wyjście — wstrzemięźliwość. Chyba, że chce powiększyć ocean krzywdy.

„Etyka” kukułki.

Może to przesada!

Niewątpliwie tak w wypadku, gdy przyjmujemy, że człowiek jest bezdusznym zwierzęciem, żyjącym tylko dzięki przewodze fizycznej i że ciała noworodków ekonomizują się jako nawóz lub pokarm dla ryb. I taka koncepcja jest logiczna, jeno zaprzecza ona już nie tylko nadprzyrodzonemu celowi życia ludzkiego, ale i jego celowi naturalnemu! To trzeba sobie zapamiętać.

Gdyby każde poczynające się życie miało być w zarodku zduszone, to czemuż to kukulka podrzuca jajka do gniazd ptaków, żyjących rodzinnie?

Coprawda zdarza się też, że jakieś zwierzę wydusi a nawet pożre swe małe. Lecz czy będziemy szukali usprawiedliwienia dla dzieciobójstwa wyłącznie w analogii z nierogacizną i to w wypadku wyjątkowego zбочzenia instynktu?

Czy ten wyjątkowy fenomen, potwierdzający właściwie regułę pełnego poświęcenia macierzyństwa, ma być jedynym wzorem postępowania?

Zapewne, że każde zjawisko skoro się dzieje w świecie natury, jest naturalne, jak obraz wyświetlany w kinie jest obrazem „kinowym”.

Lecz jak mówimy, że ten lub ów film jest zgodny z „duchem sztuki filmowej”, tak też dane zjawisko może być zgodne z duchem praw natury, lub też im przeczyć.

Jeśli głębsza analiza wskazuje na konieczność związku małżeńskiego, niezbędnego dla należytego wydania i wychowania potomstwa, to przecież nikt nie będzie wyciągał stąd wniosku w kategoriach „myślenia” beztroskiej kukułki czy innego zwierzęcia.

Pałkarski wic.

P. Łaskowski ze zjadliwą złośliwością cytuje Shawa, wskazując, że ten „promowany” przezemnie na szermierza małżeństwa chrześcijańskiego pisarz domaga się jednak rozwiązywania nieszczęśliwych małżeństw.

P. Łaskowski woła, jak mogłem cytować opinię Shawa, skoro gdzieindziej mówi on co innego. Ja też nie cytowałem owego „g d z i e i n d z i e j”, lecz cytowałem to, w czym Shaw nawet z mego stanowiska ma rację.

Przytem nie zawaham się potępić Shawa za wszystko, w czym przeciwstawia się katolickiej zasadzie.

P. Łaskowski m. in. przytacza filipikę Shawa przeciw nadmiernemu przyrostowi ludności.

„Jeśli w swej łodzi przewoźnik nie może pomieścić więcej niż dziesięciu pasażerów, to nie będzie się wdawał w dyskusję z kimś, kto chciałby go przekonać, że Bóg mu objawił, iż w łodzi może się zmieścić nawet do tysiąca ludzi”.

Podobnie jest z przeludnionem państwem — konkluduje Shaw — przewoźnik wali wiosłem każdego, kto by mu chciał narzucić jeszcze paru pasażerów”.

Comparaison n'est pas raison, — p. Shaw i jego adwokacie, p. Łaskowski!

Trzeba zwrócić uwagę na nieścistość tego porównania. Świat nie jest łodzią o ograniczonej pojemności.

Wiemy, że możliwość wyżywienia jest olbrzymia. Noworodki nie są pasażerami na z e w n ą t r z łodzi. One znajdują się już w łodzi, przytem z punktu widzenia interesów tej nawigacji dziecko, to maximum możliwości korzystnych, to może przyszły genjusz! Jeśli więc ktoś ma wylecieć za burtę, to najmniej dzieci. Powinni im ustąpić raczej ci wszyscy, co życie swe przeżyli. Takie jest prawo morza. Kobiety i dzieci mają pierwszeństwo. Lecz właściwie zagalopowaliśmy się w tej frazeologii wysnuwania wniosków.

Sprawa jest prosta.

Shaw myli się zarówno merytorycznie jak i formalnie Jego porównanie jako argument jest niedorzeczne.

Ciekawy tylko jestem, jak pogodzi p. Łaskowski swój zachwyt dla krwawego wiosła w rękach B. Shawa z tem, co w swoim artykule wyżej powiedział o prawie natury:

„W chwili obecnej jednostka wywodzi swe prawa do nieograniczonej pełni życia z tego właśnie „jus naturale”.

Oto jak p. Łaskowski wpada we własne pułapki. Raz broni nieograniczonej pełni życia, drugi raz cytuje bez żadnego zastrzeżenia pałkarsko-przewoźnikowski paradoks Shawa.

J. St. Czarnecki.

MOTTO

*Królestwo mego ducha nie jest z tego świata...
Ta myśl moja poczęta i skończona w sobie,
Tworząc dzieła rozmaite w każdej życia dobie,
Wciąż w oddale tajemne ląknąca ulata,
By zaczerpnąć tej siły do przyszłych miraży,
O jakich dusza moja bezustannie marzy.
I zawsze gdy w mej ciszy snuję myśli wątek,
Tworzy się coraz inny utworu początek.
I zda mi się natenczas, że te wszystkie słowa
Z których zwykle powstaje mych wierszy budowa
Przychodzą tak z zaświatów i sphywają ku mnie,*

*Niby rój meteorów rozpryskanych szumnie:
A ja tak chciałbym tworzyć, bezustannie tworzyć,
Coraz więcej swe pieśni podawać i mnożyć
I wszystko co zapiszę w jedną zmieścić księgę
Ubarwić i upiększyć i wzmocnić w potęgę;
By ta pieśń mego ducha w jedną całość zлана,
Była mile w krytyce przez ogół uznana.
I by ta księga moja, kędy polskie ziemie,
Niosła moim rodakom żmudnej pracy brzemię,
Tę pieśń moją najwznioślejszą, ten mój dar od Boga!
Który wam wskaże w sobie gdzie jest prawdy droga!*

Tadeusz Jordan.

NOWY PELPLIN

STOLICA BISKUPIA POMORZA.

Tak się złożyło, że równocześnie zobaczyłem po raz pierwszy: Polskie Morze i Katedrę w Pelplinie!

Niezapomniane wrażenia! W dziele przyrody i w dziele rąk ludzkich monumentalna wielkość! Morze zarysowało się w chłonnym wzroku na tle widnokregu rozległego jak błękit gór beskidzkich, Wnętrze Katedry ożyło w sercu jak wysokopienny las prześwietlony wierchem dalekim łukiem zachodzącego słońca.

Włodarzem katedry jest współcześnie znakomity organizator, czynny na wszelkich polach życia religijnego i społecznego, płomienny mówca Ks. Biskup Okoniewski.

Dzięki brata biskupa, dyr. Kazimierza Okoniewskiego, z którym w towarzystwie art. mal. Jackowskiego samotrzeć wycieczkę tę nad polskie morze urządziliśmy — miałem możność zwiedzenia pałacu biskupa chełmińskiego oraz świetnie rozplanowanego parku.

Biskup Okoniewski to w każdym calu renesansowy typ dostojnika kościelnego. Również jego wiedza artystyczna, twórczość niespożyta, umiłowanie piękna — sprawiły, że siedziba biskupia na tych rubieżach Rzeczypospolitej należy do najwspanialszych w Polsce.

Olbrzymia biblioteka — pomnożona walnie zbiorami własnymi Ks. Biskupa Okoniewskiego — sławnej zażywa sławy — wszakże to w niej widok białych kruków przyduje jedna z nielicznych po świecie rozsianych Biblij Guttenberga!

Pałac, zrekonstruowany umiejętnie, ma w sobie dostojność świadcząca o wysokiej kulturze polskiej. — Dwa wiekowe pomorskie gryfy pełnią straż u bramy wschodniej.

Wnętrze to istne muzeum! Jest niem też w isto-

cie — wszakże z inicjatywy Ks. Biskupa Okoniewskiego — tutaj mieszczą się zaczątki wielkiego Muzeum diecezjalnego.

Specjalną uwagę zwraca piękna kaplica pałacowa na pierwszym piętrze — z witrażami Jackowskiego oraz z tegoż artysty obrazami, przedstawiającymi świątobliwych mężów i niewiasty pomorskiego pochodzenia: całość wytworną nakrywa plafon, który również jest dziełem Jackowskiego.

Historyczny zamysł obecnego biskupa podkreśla dobitnie szereg portretów biskupów od najdawniejszych czasów po dzień dzisiejszy:

Wchodzimy do parku i — tu dopiero widzi się ów renesansowy zamysł i poryw, który ma przed dziejami zaświadczyć o smaku i rozmachu kultury polskiej.

Z inicjatywy obecnego biskupa chełmińskiego, na odzyskanem Pomorzu pierwszego biskupa Polaka, wykonał artysta-rzeźbiarz Wojciech Durek z Torunia w parku biskupim w Pelplinie trzy grupy.

Grupa św. Wojciecha. Zamyka ona główną i szeroką aleję parkową, prowadzącą od pałacu biskupiego do skraju wielomorgowego, precudnego parku, gdzie się rozdzwaja na boczne przymurne ganki parkowe. Na cokole, ozdobionym herbem obecnego biskupa chełmińskiego, widnieje szlachetna postać św. Wojciecha, przedstawiona jakby w rażnym pochodzie z podniesioną, błogosławiącą ręką. Przemierza niejako szerokie Pomorza rozłogi. Z prawej jego strony znajdują się nawróceni pracą jego apostołską przedstawiciele ludności: niewiasta z dziećciem, tuląca się z ufnością do tego, który nauką Chrystusową podniósł ją z pogaństwa, starzec, spokojnie oczekujący końca mozolnego



życia, bo je opromienia nadzieja żywota lepszego i młodzieniec spoglądający w świt nowych czasów.

Z drugiej strony są przedstawiciele pogaństwa. Przedewszystkiem brutalna jego siła, ujęta w rybaku, zamierzającym się, aby zadać cios śmiertelny apostołowi. Starzec, który pochylił głowę i nadśłuchuje hasel nowych, nadlatujących z oddali. Ale jest zbyt zgrzybiały, żeby pójść za nimi. Pogaństwo zmierzające ku przyszłości usymbolizowane jest w pacholęciu, wychylającym się ciekawie ku grupie nawróconych.

Grupę tę wyrażającą działalność św. Wojciecha na ziemi pomorskiej, strzegą dwa orły, gotowe do wzlotu, gotowe do rzucenia się na każdego, któryby owoce i skutki działalności św. Wojciecha chciał unicestwić.

Lewa grupa biskupów. W tym bloku znajduje się po lewej stronie wspomnianej aleji parkowej na pierwszym miejscu biskup Hejdenryk (1245-1263), trzymając w ręku model katedry w Chełmnie (Pomorze)). Pod nim na cokole znajduje się płaskorzeźba, przedstawiająca biskupa Chrystjana, pouczającego pogańskich Pomorzan. Za Hejdenrykiem następuje poeta-biskup Dantyszek (1530—1538) z księgą poezji w ręku, z wzrokiem zwróconym w dal, jakby szukając natchnienia. Pod nim znajdująca się płaskorzeźba wyobraża krzyżaków, wznoszących świątynie. Przybył tamże komtur, któremu budowniczy pokazuje rysunek. Po Dantyszku idzie sławny Hozjusz, późniejszy kardynał (1549—1551) z księgą wyznań wiary katolickiej, a pod nim w płaskorzeźbie zebranie stanów pruskich, w którym biskupi chełmińscy przewodniczyli. Za Hozjuszem następuje biskup Piotr Kostka (1574—1595), gorliwy obrońca wiary katolickiej przed nowinkami. Pod nim w płaskorzeźbie ciągną Szwedzi w rymsztunku przez Pomorze do serca Polski, nie rabując jeszcze. Dlatego ośmielony znajdujący się za nimi chłopczyk pokazuje im figę. Jako ostatni na tej grupie widnieje biskup Małachowski (1676—1681), twórca seminarjum

duchownego w Chełmnie (obecnie Sąd Powiatowy), którego model trzyma w ręku. Pod nim wiedzie Jan III Sobieski Kaszubów pod Wiedeń.

Prawa grupa biskupów. Po prawej stronie aleji widać w drugim bloku naprzód biskupa Załuskiego (1739—1746) z księgą ustaw synodalnych z roku 1745 w ręku. Na płaskorzeźbie pod nim konsekruje Leski (1747—1758) kościół w Starogardzie. Za biskupem Załuskim zasłużony biskup Bajer z Broniewic (1759—1785), który licznymi listami pasterskimi oraz wizytacjami podniósł myśli i serca z końcem XVIII wieku. Trzyma on w ręku list pasterski. Na płaskorzeźbie pod nim widzimy biskupa Sedalaga (1834—1856) w pośród chłopców, stanowiących zaczątek „Collegium Marianum”, obecnego klasycznego gimnazjum biskupiego. Po biskupie Bajerze następuje biskup Matthy (1824—1832), którego staraniem stolica biskupów chełmińskich została przeniesiona z Lubawy i Chełmży do Pelplina. Dlatego spogląda na fasadę katedry w Pelplinie, ustawionej u stóp jego. Pod nim w płaskorzeźbie widzimy idącego w procesji z monstrancją biskupa Marwicza (1857—1886), krzewiciela czci Najświętszego Sakramentu. Za biskupem Matthy'em znajduje się biskup Rozentreter (1899—1926) pełen powagi i dobroci ojcowskiej. Pod nim w płaskorzeźbie widzimy biskupa Dominika, obecnego sufragana chełmińskiego, jako rektora seminarjum duchownego w otoczeniu kleryków. Jako ostatni w szeregu idzie biskup Okoniewski (od roku 1926) z księgą synodalną w jednej, a piętą jako zaczątkiem Muzeum Diecezjalnego w drugiej ręce oraz fasadą.

Suchy nieco (zato skrupulatny) opis niechaj zaświadczy o tem, że Pomorskie dzierzawy wydzwigują się pod tchnieniem wolności i zakwitają dorodnym drzewem kultury polskiej — która była, jest i będzie dowodem nadmorskiej melodji wplecionej w wielką pieśń polskiego ducha.

Emil Zegadłowicz.



NOWY PELPLIN



Grupa św. Wojciecha.



DZIECI „TRUDNE”

Znamy wszyscy typ dziecka „straszego”, które ustawicznie daje się odczuć w dotkliwy sposób we znaki całemu otoczeniu. Jeśli dziecko to nie jest obarczone dziedzicznie po rodzicach chorych na choroby zwyrodniające, lub po alkoholikach, to niewątpliwie głównej przyczyny trudnego prowadzenia się dziecka należy upatrywać w niedociągnięciach i brakach wychowania.

Zło tkwi więc i w tym wypadku nie tyle w dziecku, ile w jego otoczeniu w jego kierownikach.

Nowoczesna pedagogika idzie w kierunku indywidualizacji wychowania i nauczania.

Jak niema na drzewie dwu zupełnie podobnych do siebie liści, tak niema podobnych do siebie dzieci czy ludzi.

Trzeba zerwać z tem płytkim i niedorzecznym powiedzeniem „dziecko jak każde dziecko”.

Otoż nie. Każde dziecko jest jedyne w swoim rodzaju, jest wyjątkowe i w pewnym zdrowym sensie, wymaga wyjątkowych dla siebie praw.

Powyższa opinia wynika zresztą z podstawowego faktu, który dla wierzących jest oczywistością, że Pan Bóg stwarza każdą duszę ludzką indywidualnie. A przecież dusza jest formą człowieka. Ona decyduje o charakterze fizycznym i moralnym jednostki.

Jej indywidualność wymaga poszanowania i stworzenia potrzebnych dla siebie warunków rozwoju.

Z tego punktu widzenia problem dzieci trudnych, nabiera zupełnie innego znaczenia. Dziecko trudne jest doprawdy błogosławieństwem rodziców, mówiąc im, że dostali wybitną jednostkę, która już od pierwszej chwili życia potrafi zaznaczyć swą odrębność i niepodległość.

Nie trzeba jej łamać, lecz odpowiednio pielęgnować.

Matka, która nad kołyską niemowlęcia, woła w sentymentalnym uniesieniu: „mój jedyny”, powinna wziąć sobie to za dewizę postępowania względem dziecka i traktować je indywidualnie idąc na wskazane przystosowania do jego potrzeb fizycznych i duchowych.

Dzisiaj godzimy się już naogół na to, że dziecko „nie znosi” niektórych potraw i rozumna matka nie lekceważąca zasad diety, nietylko nie przekarmia dziecka, co jest jednym z podstawowych błędów opieki, ale będzie dbać o właściwy, przystosowa-

ny do organizmu pokarm. Dziecko nie znosząc pewnych potraw najlepiej samo wskazuje jakich mu potrzeba odżywek, a jakie są zbędne.

Pod tym względem, o ile oczywiście potrafimy odróżnić kaprys od istotnej potrzeby, panuje zgoda. Niestety w nie mniej, jeśli nie więcej ważnej sprawie wychowania ta podstawowa prawda nie znajduje należytego zrozumienia. Jest nawet lekceważona.

Mówi się pospolicie, że dziecko musi być posłuszne, przytem brzmi w tem ton pogromcy, który chce wielkim, jak największym białem poskramiać zwierzę. I to zresztą jest niecisłe: prawdziwy pogromca używa bata w ostateczności. Im większy bat tym łatwiej zapłacze się w nim sam pogromca.

Poskramianie dziecka trudnego jest zasadniczym błędem wychowawczym. **Dziecko takie należy pokierować.**

W tym celu należy poznać jego charakter, jego upodobania, jego słabostki, by odpowiednio przystosować metodę postępowania, jak przystosowuje się kuchnię do potrzeb organizmu. Jeśli mówi się o chemji odżywiania, to nie należy zapominać o „chemji wychowania”, czyli zagadnieniach kierownictwa duchowego dzieckiem i młodzieżą.

Tam gdzie nasze własne rozeznanie się w tych sprawach nie wystarcza należy udać się, podobnie jak w wypadku choroby do lekarza, — tym razem do doradcy psychologa, najlepiej do t. zw. poradni psychotechnicznej. Niewątpliwie przy bliższem rozpatrzeniu charakteru dziecka trudnego okaże się na czem polegają jego słabe strony.

Okaże się, że dziecko trudne ma pewne wyraźne zainteresowania, te właśnie które my staramy się zgniebić przez błędny rygor posłuszeństwa, i że te upodobania nie należy tłumić, lecz rozwijać, i uwznioślać.

Dziecko, które zapamiętałe maże węglem po ścianach, nie robi tego zawsze na złość, lecz może z potrzeby artystycznej. Dziecko, które wchodzi na drzewa, może kryje w sobie przyszłą sławę lotniczą.

Bierzemy tu oderwane i może groteskowe przykłady, aby wskazać na pewne zasadnicze nieporozumienia postawy rodziców względem dziecka.

Nad tem wszystkim winni się zastanowić rodzice i wychowawcy, aby znaleźć właściwe wyjście z „trudnej” sytuacji.

FRA BEATO ANGELICO

*Cisza dokoła... Za błękitne góry
Schodzi szczerozłoty słońca wid purpury
I promiennym płaszczem wierzchołki strzeliste,
We mgieł obejmuje ramiona srebrzyste.*

*Dzień powoli kona... Dzwon dominikański
Pieśnią wiernych wzywa do modlitwy Pańskiej,
To silniej uderzy, to miękko, pocichu,
Jak zamknięta pszczoła w liljowym kielichu..*

*Z oddali coś woła. Jak echo po lesie
Gwar stłumionych głosów po Florencji niesie,
Nad błękitną górą po ogrodach Bosco,
Chodzi anioł ciszy z nornych tęsknot troską.*

*Z pod klasztornej niszy, gdzie małe okienko,
Ktoś ostatnie błyski słońca — chwytą ręką,
Uwiecznia je pędzlem... Szmaragdowe lato
Tęsknotę wysnuwa z duszy Fra Beato.*

*Coraz szybciej, szybciej, pędzel się kołysze,
Tęczowemi barwy akt zachwytyłów pisze,
Coraz słabiej, słabiej, słońca wid z purpury
Pomaga artyście... Bo już zbiegł za góry.*

*Jeszcze dzwonią dzwony, jeszcze pieśni grają,
A już ciemne widma nocy z mroków wstają,
I po szczeblach blasków gwiazd szatę bogatą,
Snując w dal, wołają: „Dobranoc Beato”.*

Tadeusz Czarnowski.

PRASA A CZYTELNICY

Zawód dziennikarza nie jest bynajmniej łatwym zajęciem. W dziennikarstwie należy mieć odwagę cywilną swoich przekonań, cięty język oraz stale być przygotowanym do odparowywania ataków.

Zarzuty przeciwnika, o ile są rzeczowe i poważne, posiadają dla rutynowego dziennikarza znaczenie pierwszorzędne, skłaniają bowiem ku głębszemu zastanowieniu oraz ku pewnego rodzaju rzetelnemu rachunkowi sumienia, nasuwają również nowe pomysły z tej lub innej materji. Jednakowoż naogół cały szereg zarzutów, z jakimi spotyka się prasa, jest całkowicie pozbawiony uzasadnienia. Są to przeważnie wyniki niesłusznego ustosunkowania się czytelników. Istnieje niesłusznie wielka ilość czytelników — zwłaszcza tych z najbardziej oddalonej prowincji — którzy uważają się za bardziej kompetentnych od dziennikarzy. Są również tacy, którzy żądają od prasy polemiki i tylko polemiki, czy to politycznej czy to społecznej treści, którzy poszukują wyrazu własnych zapatrywań i własnego kultu bądź dla jakiegoś wybranego męża stanu, bądź dla jakiegoś ulubionego pisarza. Ci są najgorsi. Za każdym razem, gdy gazeta, którą stale czytują ośmieli się wyrazić nie to, coby oni chcieli, czują się oni dotknięci i dają wyraz swemu oburzeniu publicznie. Nawet którzy teoretycznie zgadzają się z tem, że wymiana zdań przyczynia się znacznie do postępu, którzy pojmują, iż oświetlenie danej sprawy z najróżniejszych stron prowadzi do pełnej twórczości i dobrego rozwiązania zagadnienia, którzy rozumieją, iż dopuszczanie na łamach prasy do głosu przedstawicieli obozów przeciwnych może przynieść tylko dobre skutki, a bynajmniej nie zaszkodzić, nawet ci wszyscy, jeśli chodzi o życie, a nie o teorię, są nieraz prostru niemożliwi. Wymachując sztafandarem swej partyjności w żaden sposób nie chcą dopuścić nikogo z przeciwnego obozu do głosu, czy to chodzi o politykę, czy o sprawy religijne, czy społeczne. Naogół większość czytelników jest tego zdania, że gazeta, prasa wogóle, stanowi jedynie wyraz walki. Każde zdanie przeciwne ich zapatrywaniom uważają ci zaci ni ludzie za bezczelne zakłócanie spokoju publicznego, za pozbawioną sensu i nieaktowną krytykę lub zrzędzenie (to ostatnie w najlepszym razie).

Métier dziennikarza jest to stała walka z tem podobnymi zjawiskami, a zjawiska te są na porządku dziennym, bez różnicy na kraj. Wytrawny dziennikarz oczywiście nic sobie wkońcu z tego wszystkiego nie robi. Co się zaś tyczy ideowego dziennikarza-wydawcy, to idzie on swoją zgóry zakreśloną drogą, mając jedynie swój cel na widoku i stara się w miarę możliwości nie przejmować się zbyt niechętnymi pomrukami lub też burzą protestów, które pośród tych lub innych czytelników wywoła ten lub inny artykuł.

Wydawca powinien przede wszystkim głęboko i prawdziwie wierzyć w swoje posłannictwo, powinien mieć swoje niewzruszone credo, posiadać niezachwiane zasady. Stosuje się to w głównej mierze do prasy katolickiej, a tem samem do wydawców-katolików.

Jakież trudności ma wydawca! Ile dowodów głupoty ludzkiej napotyka na swej drodze!

Są wszakże tacy czytelnicy (jakieś stowarzyszenia przeważnie), którzy bojkotują to lub inne pismo tylko dla tej jednej przyczyny, że ośmieliło się ono skrócić jakieś ich sprawozdanie ze zjazdu, posiedzenia, kongresu itp. Czy wobec takiego ustosunkowania się może być mowa o zrozumieniu dla prasy? (Dodać należy, że znów inni czytelnicy zarzucają pismom katolickim, iż są „kalendarzami” uroczystości, posiedzeń i temu podobnych zdarzeń z życia poszczególnych stowarzyszeń i związków i wobec tego przerzucają się na jakieś inne pismo, „które niema nic przeciwko Kościołowi, a które jest przynajmniej ciekawe”). Wydawca zaś musi lawirować pomiędzy temi sprzecznymi zarzutami i wymaganiami!

Słyszy się nieraz liczne krytyki, spowodowane przez umieszczenie w poważnych pismach ogłoszeń. A czy łatwo, czy wogóle podobna w dzisiejszych czasach, wydawać dziennik bez ogłoszeń? W Austrii obliczono niedawno, że przeciętnie pismo, chcące istnieć, musi 40% swych wydatków pokrywać z dochodów działu ogłoszeniowego.

Wracając do prasy katolickiej, to jej starania, jej egzystencję wogóle, uważa się za coś tak samo przez się zrozumiałego, że nikomu nawet nie przychodzi do głowy jak wiele wysiłków, ile odporności, wytrwałości i siły woli musi posiadać redakcja pisma

potem, aby w tych czasach ogólnego kryzysu móc utrzymać się na swej ideowej placówce. To też zasługi wobec Kościoła wydawców pism katolickich w dobie obecnej są większe, niż kiedykolwiek. Nie kierują się oni bowiem jedynie zasadą, stosowaną obecnie przez większość dzienników świata, zasadą dawania czytelnikom hyle czego — byle przeżyć, ale, pomimo piętrzących się trudności zarówno natury materialnej jak i moralnej, usiłują w miarę możliwości kroczyć naprzód, udoskonalając i rozszerzając treść i zakres swoich wydawnictw.

Słusznie napisał kiedyś w piśmie niemieckim „Schönere Zukunft” pewien dziennikarz: „Prasa jest czemś więcej jak literaturą, prasa jest reklamą, jest wielomiljonowem echem, jest sztuką rozpowszechniania, nauką sugerowania mas, nawoływaniem, zdobywaniem”...

Ci, którzy sobie nie uświadamiają istotnego celu prasy, pomimo największych zdolności literackich i dziennikarskich, pomimo umiejętności władania piórem, należeć będą zawsze jako dziennikarze do „niższych” kategorii. Wówczas dopiero będzie istniała naprawdę silna, wpływowa i kulturalna prasa, kiedy całe społeczeństwo uczuje jej potrzebę, jej niezbędność, w ten sposób, jak czuje potrzebę oraz zbawienne skutki akcji charytatywnej, pracy misyjnej oraz nauki Kościoła.

Rzadko kiedy istniała tak wyraźna potrzeba spokojnego, rzeczowego wypowiedzenia się w różnych sprawach na temat sprzecznych poglądów i t. d. jak właśnie dzisiaj. Napięcie, wywołane przez partyjność i rozpolitykowanie całego społeczeństwa wybucha na łamach prasy co chwila. Doprawdy lęk może ogarnąć każdą bardziej myślącą i rozsądną jednostkę, która obiektywnie i spokojnie przygląda się tym, jadem nienawiści ziejącym polemikom. Lęk o przyszłość duszy ludzkiej. W polemikach tych roi się od obelżywych słów i insynuacji, które przejmują wstrętem. A tak wiele mówi się o postępie, o dorobku kulturalnym naszego wieku...

Prasa, będąca w dużej mierze odbiciem danej epoki, w żadnym razie nie odzwierciedla tej osławionej „wielkiej kultury”. Jakiś zabłąkany na naszej ziemi mieszkawiec innej planety, któryby chciał poznawać społeczeństwo XX wieku na podstawie ga-

DWIE KSIĄŻKI PODNOSZĄCE DUCHA

Zdarzyło się, że jednocześnie wpadły mi w rękę dwie polskie książki, pozornie nie mające ze sobą nic wspólnego, które jednak po głębszym wnikięciu w ich istotną treść okazują się bliskimi krewnami. Jedną z nich to powieść K. Makuszyńskiego p. t. „Człowiek znaleziony w nocy”, druga to „Cuda w Lourdes” Szpyrkówny. Pokrewieństwo pomiędzy nimi wywodzi się ze wspólnej im przeogromnej chęci rozdmuchania w duszy polskich czytelników tego wzniesłego płomienia, jaki żarzy się w duszach samychże autorów. Ów płomień zaś to odblask budzącej się obecnie wśród niemałej części ludzkości tęsknoty za życiem lepszym, więcej uduchowionem, aniżeli współczesne życie nad miarę już zmaterializowane. Jedną ze świątyń, gdzie tęsknota ta może być zaspokojoną, gdzie człowiek, — o ile tylko pragnie tego szczerze — może istotnie stać się lepszym, jest małe pod względem obszaru miasteczko francuskie, lecz słynne za to wielkością swych cudów — Lourdes.

W słynnym z cudów Lourdes miasteczku, pisze Szpyrkówna dzieje się wiele rzeczy, którym się trzeba dziwić. Nie ma ona na myśli tego, co robią dla chorych siły niebieskie; podziw i upokorzenie wzbudzają w niej ludzie. Nie chorzy. Nie! Zdrowi. Brancardierzy. Zwykli, normalni, nieraz bardzo bogaci ludzie z towarzysztwa, opowiada ona, którzy przybywają tu w lecie dla wypoczynku, polegającego na pracy od 6-ej rano do 10-ej wieczór przy chorych, targarce wynoszący chorych z pociągu na leżyska, toczący wózki ku Grocie, na Msze św., procesje i do źródeł.

Przyjeżdżają na własny koszt i utrzymują się z własnych środków. Prawdziwi Rycerze Krzyżowi, którzy krzyż przenieśli z płaszcza do serca.

Pewnego rodzaju uczucia podziwu doznajemy też, czytając wspomnianą wyżej powieść Makuszyńskiego. Mianowicie podziw wzbudza odwaga tego pisarza który dzisiaj wobec panującej jeszcze w całej pełni żądzy egoistycznego używania życia, nieogładającej się na jakiegokolwiek ideały, zwłaszcza na ideał miłości bliźniego, puszcza w świat powieść, poświęconą całkowicie tej zbożnej idei. Jaskrawe przeciwieństwo, istniejące pomiędzy budzącą się tęsknotą za życiem lepszym i więcej uduchowionem, a życiem współczesnym stanowi jedną z przyczyn, że utwór ten spotyka się z tak biegunowo przeciwnymi poglądami na jego wartość. Jedni z czytelników twierdzą, że jest to powieść o ludziach papierowych, pozbawiona... sensacji. Inni, mniej liczni, do których należy autorka niniejszego sprawozdania, sądzą, że omawiana powieść ma znaczenie przełomowe w beletryście naszej, będąc bardzo aktualną, albowiem porusza temat niezmiernie doniosły, mianowicie sprawę reformy wychowania duszy ludzkiej w kierunku jej uszlachetnienia. Ten wyłączny motyw powieści, obracający się w sferze wysoce idealnej, powoduje, że występujące w niej postacie wywierają wrażenie istot nierealnych, nieprawdziwych, gdyż w istocie takich ludzi albo wcale, albo niezmiernie mało jest w dzisiejszym świecie. Zwłaszcza główny bohater powieści: Juljusz, ów człowiek znaleziony w nocy przez powracającego do domu

Stalińskiego, jest postacią nieco legendarną, w obecnych stosunkach panujących na naszej ziemi, nader rzadko spotykaną. Juljusz, z pochodzenia arystokrata, wskutek kryzysu gospodarczego upada na samo dno nędzy materialnej. W podartych łachmanach, głodny, nocuje pod deskami złożonemi na Powiślu. Przyjeżdży do domu przez Stalińskiego, drugiego z kolei bardzo rzadko napotykanego w realnym życiu idealistę. Juljusz, odżywiony i odziany przyzwolicie staje odrazu w szeregu Prawdziwych Rycerzy Krzyżowych i na wzór swych współtowarzyszy z Lourdes przenosi krzyż z płaszcza do serca. Polski brancardier poświęca czas swój i zdrowie wyszukiwaniu ofiar ludzkiej niedoli i pomaga im z całej mocy. Jeszcze i w tem jest podobny do brancardierów z Lourdes, że po otrzymaniu bardzo wielkiego spadku nie używa go bynajmniej dla własnej wygody i wypoczynku, lecz ofiarowuje go w całości na cele wspomagania biednych opuszczonych dzieci. Wkońcu ginie śmiercią tragiczną, przejechany przez wóz w chwili, gdy uratował małe dziecko od grożącego mu takiego samego losu.

O innych postaciach, bardziej realistycznych, występujących w powieści Makuszyńskiego, nie wspominał dlatego, że mniejsze mają znaczenie, odgrywając niejako rolę tła, na którym dobitniej ujawnia się zbożna praca postaci głównej. O tej ostatniej można to samo powiedzieć, co o pracownikach w Lourdes, że ten brancardier polski budzi w nas nie tylko uczucie podziwu, lecz i... żalu, że nie jesteśmy tacy sami, jak on

Józefowa Hilarowiczowa.

(Dokończenie „PRASA A CZYTELNICZY“).

zel, miałby napewno niezbyt pochlebne pojęcie o ludzkości.

We wszystkich państwach panuje obecnie to, co Niemcy określają jako „Hetzeri”, czyli wzajemne zjadanie się, lżenie i t. d. jednakże nigdzie chyba nie występuje to tak jaskrawo jak w Polsce. Dość przeczytać kilka dzienników różnych „obozów” z jednego dnia. Wystarczy to, aby nabłać obrzydzenia do całego społeczeństwa.

Sytuacja prasy katolickiej wobec tego wszystkiego jest niezmiernie trudną. Pod „huraganowym ogniem”

strzałów wszystkich przeciwników, (którzy, rzecz dziwna, będąc niczazaciekłymi wrogami, łączą się we wspólnym froncie przeciwko prasie t. zw. „ultra-katolickiej”); muszą dziennikarze katolicy zachowywać zimną krew, spokój i zupełne opanowanie. Wszelka polemika ma to do siebie, że mimowoli porywa w jakieś zapomnienie. Właśnie od tego „zapamiętania” broni się prasa katolicka w pierwszym rzędzie, od tego „zapamiętania”, którego rezultatem są nietolerancja, szykany, konfiskaty i t. d.

W pracy nad ewolucją wewnątrz-

na, jaka ma się dokonać w jednostkach i narodach, rola prasy ma znaczenie pierwszorzędne. Im gorsze są ataki z zewnątrz, im więcej istnieje trudności różnej natury, tem bardziej powinna się prasa skonsolidować i solidaryzować, aby wytrwać i zwyciężyć, bowiem: „Znajdujemy się w położeniu ludzi, którym zburzono dom. Koczujemy na pustkowiu. Jeżeli uwierzmy, że blask gwiazd jest jednak dość silny, by oświecić naszą robotę „budowania wśród nocy” — jesteśmy uratowani”.

Z. Ł.

W Ł. W A S I L E W S K A.

S E N

Dla pewnych dzieci z bogatego dworu, zima była elegancką panią, w białym z wierzchu i pod spodem futerku, spacerującą w pewnej porze roku raz tu, raz tam po świecie, z łyżwami w jednej, a nartami w drugiej ręce.

Ale w oddali od tego dworu, na samym końcu wsi, żyło troje innych dzieci, dla których ta sama zima, była prosto białą wiedźmą, wtykającą swój odmrożony nos najpierw do ich domu.

Sprawdzało się to przecież co rok, że kiedy nikt we wsi nie skarżył się jeszcze na mróz, a dzieci sąsiadów tylko czekały dnia, aby się rzucić jedno za drugim w śnieg, — te dzieci siedzą na drewnianym łóżku w jednym kącie, już zmarznięte na kość, a śnieg leży przed nimi koło łóżka, na podłodze, tuż...

Cichutko, śnieżynka za śnieżynką, wysypuje się tu przez dziurawy dach, przysiadłszy na deskach podłogi, bieleje sekundę i zaraz, jak mały, biały duch, gdzieś w szaro-brudnym mroku izby — znika...

Znika zupełnie? — O, nie...

— Ty, patrz! Znów zrobił nam na ziemi wodę!

— Nie wstanę na bosa nogi. Już zacierałam dwa razy — idź teraz ty!

— Czekajcie, ja wstanę! Wcale nie czuję odmrożonych nóg!

I poszła, ta najmłodsza. Zreszta — wiek dzieci zagubił się tu gdzieś w łachmanach, a poczucie zimna i głodu, jedyne niezaprzeczone stwierdzenie istnienia od roku, czy więcej lat — u wszystkich trojga było jednakowe.

Pozatem, były to najlepsze i najposłuszniesze dzieci. Czy matka, poza udręką zbierania suchych skórek chleba po wsi, właśnie w zimie i łamania pokrywom gałęzi w lesie na trochę ognia i ciepła w rozwalonym na nieszczęście piecu — miała z temi dziećmi w domu choćby najmniejsze udręczenie? — Żadnego. Tyle, że czasem, kiedy mróz wyszczypał im policzki, palce u rąk i nogi, już niedowyttrzymała — to zaraz, jak to dzieci, nie wołały: „zimno nam“, tylko: „mamo! — daj jeść“!

Bo gdyby zawołały, choćby tak samo nagle, z płaczem i rozpaczą: „zimno nam“! — zdjęłaby zaraz jedyne, co jeszcze mogła z siebie dać: serdak, kiedyś białym barankiem obsyty, bez rękawów, — ale nie, one wołały: „jeść“!

A ileż to razy w domu nie było nic!...

Podchodziła wtedy z uśmiechem, prosto filuterym i odpinając z przodu serdak (co ona sama teraz robi?!), żeby go z siebie zdjąć, pytała żartobliwie:

— E, a może to tylko zimno, a nie jeść — co?...

Ale wtedy, wcale nie żartobliwie, podnosił się z kąta tego ponurego, ze zwilgotniałą słomą łóżka, zgodny, groźny ryk:

— Nie! My chcemy jeść! Daj jeść!!

Nie wytrzymałaby w domu za nic. Już lepiej wyskoczyć na mróz — zaraz, z taką okrutną tkliwością, obejmujący jej gołe nogi bez pończoch, w pamiętnych męzowskich buciskach, ręce zsiniałe i twarz. — i lepiej

dać się, cała w biednych szmatach, targać wicherze, jak szmata, niż słuchać dalej w bezradności, czego te dzieci od niej chcą!...

Któregoś tam świątecznego dnia wieczorem, ktoś się zatrzymał z tamtej strony drzwi.

Dziedziczka przysłała chłopa z temi oto saniami i derami po to, żeby wdowa razem z dziećmi zabierała się zaraz, razem z nim do dworu.

Franusia śpi. Jej niebieskie oczy są zamknięte i nie widzą wytrzeszczonych ze zdziwienia oczu siostry i braciszka i tego gorączkowego pośpiechu mamy, która odwraca biedne, wypłowiałe gałgany na nich i na sobie samej, na drugą stronę po to, ażeby wyglądały czyściej...

Oto już jadą szerokimi saniami, szerokim szlakiem drogi. Woźnica jest mrukliwy. Gwiazdy — takie wymownie „pańskie“ i dalekie — nie mówią ani słowa. Las, powycinany po bokach, świeżo oddawszy, co miał najlepszego na choinki — stoi ciemny na tle białego śniegu i wzgardliwy. Mróz jedynie wcisnąłby się tu do nich czworga poufale, jak do najlepszych znajomych, pod grube dery i — wściekły, nie może... Więc to ich bawi!

Tak tylko czuły serca biedne i opuszczone, dusze nie znające pragnień silniejszych, jak ciepła i chleba, w tę przecudowną, cichą noc zimową, podczas gdy cierpliwy dzwoneczek u dyszla, przez całą drogę roznosił jedną i tę samą melodię po lesie...

Nie, nie! Czyż to możliwe, aby rzeczywiście dziedziczka miała ją wpuścić z dziećmi aż tam, do salonu?!... Franusia obudziła się dopiero w tej chwili. Oczy zamknięte przez całą drogę pod zimnym, spokojnym blaskiem księżyca, nie mogą znieść teraz, nagle bijącego w twarz ciepłego, wesołego światła elektrycznych lamp. Witek i Minia tymczasem, w okropnym zawstydzeniu, płaczą się tuż koło matki nóg.

Dziedziczka, która z początku zapraszała z uśmiechem i najlaskawszym gestem rąk, teraz, skoro nieśmiałość wdowy przechodzi jej oczekiwanie — nagle odzywa się tak, że... nie się zniecierpliwienie:

— Ależ proszę wejść — tam jest dla dzieci ze wsi choinka!

Choinka?!... Ależ to objawienie, to cud! To sto, czy dwieście elektrycznych świec, przeświecających zielone, może te same z przed jej chaty gałęzie, na które tutaj rzucono sztuczny śnieg, spuszczone od czubka aż do stóp — złote i srebrne warkoczki i przyczepiono aż tyle, tyle kolorowych bomb!

Gdy ona sama stanęła w osłupieniu, dzieci jej onie miały z zachwytu. Wszystkie zmysły skupiły się w tej chwili w jednym zmyśle: — nienasyconego patrzenia!... Nie wiedziały kiedy i kto wziął je od matki, nie wiadomo, czy nawet czuły, że ktoś je prowadzi naokoło choinki i coraz daje jabłko, orzech, czy cukierki do rąk... Zapewne czuły jedno tylko, jak rozkosznie jakieś dobroczynne, z niewidzialnego źródła ciepło, rozchodzi



Wśród śnieżnych szczytów i lodowców alpejskich.

się po wyziębionem ciele tak, że aż czerwono zabarwia policzki.

Z otwartemi szeroko ustami i wytrzeszczonemi oczami — matka to czuła spoglądając od drzwi — odeszły w tej chwili zupełnie od niej i od tego świata, w którym obudziły się zrana i pójda spać jeszcze dziś...

W tej chwili zagrała muzyka. Muzyka wychodziła wprost z jednego kąta pokoju, z małej, ciemno-bronzonej szafki — bez jednego muzykanta.

To właśnie wprowadziło Witka aż w takie zdumienie, że wypuścił z ręki jabłko, które jednocześnie dla jego siostry Mani, miało jeszcze większe znaczenie od muzyki... Po śliskiej, błyszczącej posadzce z takim strachem, że może nie wolno — bosemi nogami goniła to czerwone jabłko. Widać dla kogoś ze dworu było to aż wzruszające — dano jej zaraz jeszcze dwa, czy trzy.

Nagle — zaraz w następnej chwili, cuda i radości w tym domu, uznano już za wyczerpane i powiedziano matce trojga zachwyconych, z zaróżowionemi tak ślicznie policzkami dzieci, że temi samemi saniami może odjechać do domu. I jeszcze jedno — w saniach tych znajdzie koszyk, a w nim coś do zjedzenia i paczkę starych ubrań.

Tak, to zrozumiałe, jak ciemno i jak zimno musiałyby się wydać dzieciom po powrocie do domu. Matka była więc ponad wszystko (wszystko, co mogło być w koszyku) szczęśliwą, że dzieci jedne po drugim, znużone tysiącami wrażeń, w drodze powrotnej poprzez mętno-białą śnieżycę — posnęły... Spiące, z tajemniczymi uśmiechami nie wiadomo do czego, jak nigdy,

w kątach ust — położyła później jedno obok drugiego na łóżku...

Nazajutrz — zaledwie rozbudzone, z rozpaczą zaczęły szukać oczami choinki! Nie było!.. Zaczęły wtędy, na wspomnienie wczorajszego ciepła — wydierać sobie nagle, wszyscy troje, jedno wspólne okrycie!

Matka uspakajała je dawnemi, zgóry pełnemi fałszywego przekonania słowami, że przecież w zimie nigdy nikomu nie może być zupełnie ciepło, czyż nie wiedzą?... a... jakiej szukają choinki?... pięknej?... z kolorowemi lampami?... Jakto, widziały ją własnymi oczami — kiedy?!...

— Ależ, to był tylko sen, moje dzieci! Przecież tego nigdy nie było naprawdę! Nie wychodziłyście wczoraj ani na króć z domu. Cały dzień była taka śnieżycą, że — patrzcie — jak nam zasypała drogi. Na szczęście pani ze dworu przysłała nam wczoraj wieczorem — pamiętacie, jak tu zastukał chłop? — pełen jedzenia koszyk i mamy teraz co jeść, o!

Tak mówiła i mówiła — poprzez dziecinny płacz — prawie przez cały dzień, aż do obrzydliwego znużenia.

I oto Bóg dał, że widać dzieci wkońcu matce uwierzyły, bo jeszcze w izbie dogasał powoli szary, dręczący śniegiem i zawieją dzień, kiedy Franusia zawołała pierwsza:

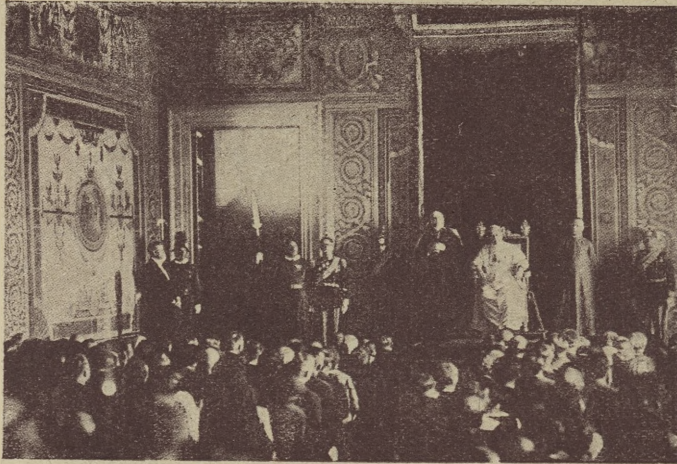
— Mamo! Ja chcę już spać, żeby mi się przyśniła ta sama choinka...

Wtedy i Mania chciała zasnąć czempredzej w nadziei na jabłko, a Franus — żeby posłuchać muzyki...

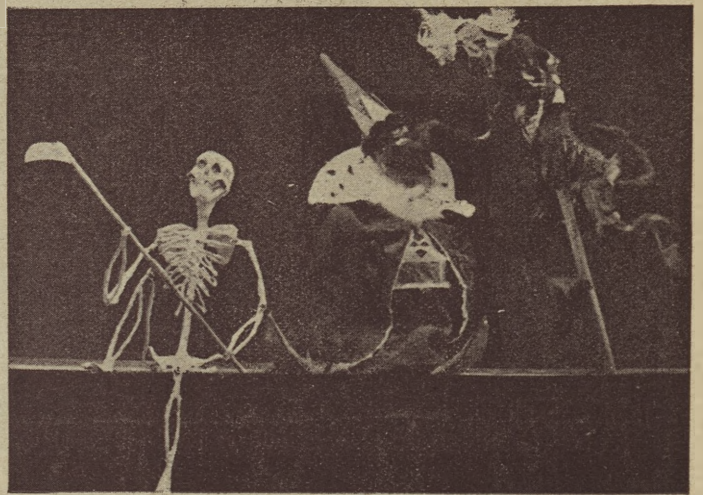
Tylko matka nie spała całą noc, modlac się, ażeby Bóg, który dał dzieciom wczoraj taką rzeczywistość, dał dzisiaj — tylko taki sen.



NOWINY ZE ŚWIATA



Ojciec św. otwiera rok jubileuszowy.



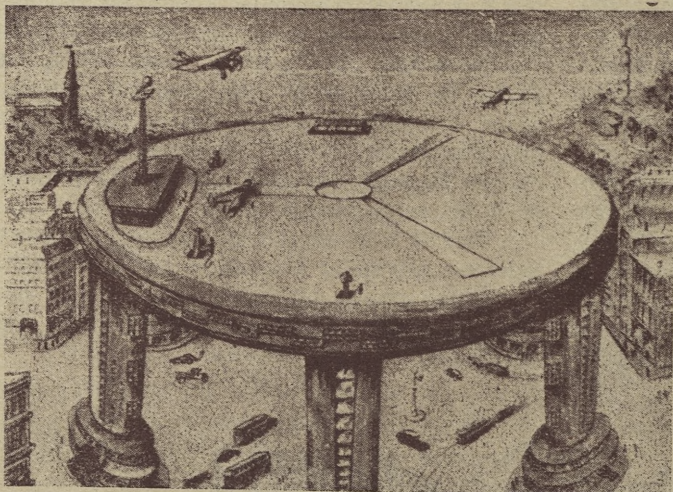
Szopka tradycyjjna — Śmierć, Heród, djabeł.



Pireneje — widok na dolinę.



Nowy most kolejowy linii średnicowej w Warszawie



Projekt lotniska na wielkich placach amerykańskich miast.



Pos. Salamik z Czechosłowackiej partji ludowej w odkrytych przez siebie jaskiniach wapiennych na Morawach.

MIEKKIE SZKŁO

Chociaż szkło należy do jednego z najdłuższych znanych tworzyw, zastosowanie jego dopiero w ostatnich czasach przybrało ogromne rozmiary. Nietylko w środkach komunikacyjnych, nietylko dla okien i drzwi nowoczesnych domów, ale także dla wykładania ścian, sufitów i podłóg, oraz dla wytwarzania wielu naczyń domowych i chemicznych używa się tego szkła. Dlatego też musiano nauczyć się zmieniać dowolnie własności tego materiału, aby mógł spełniać swoje zadanie.

Wobec tego zastosowano szereg zamiastek, jak np. te, że się szybę złożyło z kilku warstw, pomiędzy którymi znajdowała się warstwa celuloidu. Wszystko to było zlepione żelatyną. Takie szkło pod uderzeniem wygina się, kruszy, ale nie rozpryskuje. Cóż, kiedy jest ono bardzo małe

wytrzymałe na wpływy promieni ultrafioletowych światła słonecznego. Wobec tego tę warstwę środkową usiłowano zastąpić szlucznymi żywicami, acetylcelulozą i t. p.

Prócz tego w ostatnim czasie pracowano nad tem, ażeby własności samego szkła bez dodatków innych materiałów polepszyć. Te usiłowania w znacznej mierze zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Najważniejszą cechą tego nowego szkła jest niesłychana jego twardość. Ma to ten skutek, że w razie nagłego uderzenia szkło takie rozpada się na drobniutkie kawałeczki o zaokrąglonych brzegach, zupełnie nie ostrych. Dzięki temu niebezpieczeństwo zranienia pasażerów bardzo się zmniejszyło.

Ma to jednak ten skutek, że szkła takiego nie można krajać dowolnie przed użyciem, tylko musi ono już

w fabryce być zamówione w potrzebnych rozmiarach.

Niezależnie od większego bezpieczeństwa takiego szkła, posiada ono niezwykle zalety wytrzymałościowe. Tak np. można z wysokości 25 metrów zrzucić kulę stalową $\frac{1}{2}$ kg. na płytę szklaną bez żadnego uszczerbku dla tejże płyty. Wytrzymałość na złamanie jest około 10 razy większą niżeli szkła zwyczajnego. Szyba szklana o wielkości 100×120 cm. wytrzyma obciążenie 5000 kg. bez przełamania się. I faktycznie wytrzymałość nowego szkła dorównuje już połowie wytrzymałości stali, a elastyczność jego jest nawet dwa razy większą. Do tego dołącza się jeszcze znaczną odporność na zmiany temperatury, nie pęka takie szkło nawet w temperaturze 400 stopni. Narazie szkło to rozpowszechnia się bardzo w Anglii i Francji.

JAK POWSTAJĄ WYNAŁAZKI

Posługując się zdobyczami nowoczesnej techniki, nie zdajemy sobie nieraz sprawy z tego, że od narodzin danego wynalazku do dnia dzisiejszego i dzisiejszego jego stanu i wyglądu prowadzi nieraz długa i mozolna droga.

Takim np. wynalazkiem są... zapałki.

Człowiek już od najdawniejszych czasów potrafił wzniecać ogień. Do najstarszych sposobów należy prawdopodobnie tarcie o siebie dwóch kawałków drzewa, miękkiego i twardego, innym sposobem jest krzesanie ognia zapomocą uderzania o siebie dwóch kawałków kamieni i chwytywanie iskry na hubkę.

W początku XIX wieku Chancel wynalazł zapałki, które zapalały się przez zanurzenie główek do buteleczki z kwasem siarczanym. Niebezpieczne te zapałki zastąpiono w jakieś 10 lat później zapałkami o główkach do pocierania. Główniki ich zawierały substancje chemiczne, które zapalały się przez pocieranie o ostry papier, pokryty warstwą piasku. Zapałki te wynalezione zostały prawie równocześnie przez Francuzów i Niemców. Zapałki te, fosforowe zostały zrazu zabronione, jako niebezpieczne. Dopiero w roku 1848 wynalazł chemik niemiecki Böttcher, t. zw. zapałki bezpieczne, co zresztą nie jest zupełnie bezsporne, gdyż inni roszczą sobie także prawo do tego wynalazku.

W prastarym dokumencie chińskim znajduje się wiadomość, że w roku 1160 przed nar. Chr. cesarz chiński podarował posłom obcego mocarstwa „Fse-

nan”, czyli „wskaziciel południa”, ażeby nie błądzili w drodze powrotnej. W czasach tych był zatem znany już w Chinach kompas, który w Europie spotykamy dopiero w początkach 13 stulecia, a więc w przeszło 2 tysiące lat później. Żeglarzowi włoskiemu, Flavio Giojo przypada w udziale zasługa skonstruowania w tych czasach kompasu w postaci, odpowiedniej dla żeglugi. Zasadnicza konstrukcja tego kompasu odpowiadała mniej więcej dzisiejszej jego budowie. Od tej pory w żegludze europejskiej następuje niesłychany rozwój. Wyprawy takie, jak Krzysztofa Kolumba do Indyj możliwe były dopiero po wynalezieniu tego „przewodnika morskowego”. Dziwnym się jednak wydaje, że tego rodzaju instrument, znany już w Azji, dopiero tak późno doczekał się praktycznego zastosowania w Europie.

Ludzie od dawien dawna posiadali przyrządy do mierzenia czasu (zegary słoneczne, wodne itd.). Pierwszy zegar z mechanizmem kółkowym i ciężarkami wynaleziony został w roku 850 przez pewnego mnicha włoskiego. Pierwszy zegarek kieszonkowy natomiast skonstruował dopiero w roku 1505 mechanik norymbergi, Piotr Hele czyli Henlein, który zastąpił ciężarki sprężyną. „Jajka norymberskie” — tak zwane dla ich kształtu. Pierwsze zegarki kieszonkowe — szły 40 godzin, a zamiast mniejszej sprężynki przy kółku wahadłowem, używany był włos koński lub szczecina, dlatego też i dziś jeszcze ta sprężynka,

mimo, iż oddawna jest metalową, zowie się „włosem”. W roku 1674 fizyk Krystjan Huygens dał zegarkowi ową sprężynkę stalową i ulepszył mechanizm zegarka.

Żarówka należy do tych licznych wynalazków, których dokonało równocześnie kilku wynalazców niezależnie od siebie, i nie jest wynalazkiem zbyt nowym. Jednak już w r. 1845 przyrodnik Jobard w Brukseli wystąpił z projektem rozżarzania węgla w próżni powietrznej zapomocą prądu elektrycznego. Tutaj spotykamy się zatem już z zasadą żarówki. Po licznych w tym kierunku próbach dopiero Edison w roku 1879 wystąpił z praktycznym wynalazkiem, kiedy zaopatrzył parowiec „Columbia” w światło elektryczne zapomocą 115 przez siebie skonstruowanych żarówek. Edison zastąpił dotychczasowy węgiel żarówki zwęglonem włóknem bambusowym i zdobył wielki sukces na międzynarodowej wystawie paryskiej w roku 1887. Długiego jednak czasu potrzeba było jeszcze, zanim otrzymaliśmy żarówkę w dzisiejszej jej postaci, zużywającą znacznie mniej prądu niż pierwsze żarówki Edisona.

Decydując się na podróż, rzuć okiem na informacje o komunikacji lotniczej!

Ruch codzienny.

Informacje i bilety: Warszawa, tel. 547-60, 808-50 w biurach podróży i u portjerów większych hoteli.



Prezydent Rzeczypospolitej Ignacy Mościcki w otoczeniu dyrektorów lasów państwowych.

HUMOR

TO CI RADOŚĆ.

„Człowieku, jak ty możesz być taki wesoły?” „A no, jutro komornicy sądowi mają swoje posiedzenie. Będę miał cały dzień spokój”.

MIEDZY MŁODYMI ADWOKATAMI.

— Słyszałem, że kolega miał sprawę w sądzie?

— Tak jest.

— Winszuję! Serdecznie winszuję! Cóż to za sprawa?

— Krawiec zaskarżył mnie o należność za garnitur... Występowałem nieestety, jako oskarżony, a nie obrońca!

NIEBEZPIECZNA CHOROBA.

„Jak slyszałem, pańska żona zachorowała. Czy niebezpiecznie?” „Nie, ona jest tylko niebezpieczna, gdy jest zdrowa”.

NIEPRZYJEMNE.

1. Lekarz: „Panie kolego, jest pan w złym humorze!” 2 Lekarz: „Jest też powód do tego. Od dwóch lat leczę pacjenta na żółtaczkę i teraz się okazało, że to jest chińczyk...”

U DOKTORA.

Doktor (do pacjenta): Tydzień temu powiedziałem panu, że panu nie wolno pić alkoholu, a pan dziś znów pyta!

Pacjent: Bo myślałem, panie doktorze, że może medycyna od tej pory zrobiła jaki postęp..

GDY DWOJE TO SAMO CHCĄ ZROBIĆ.

„Och. Karolku, co zrobiłbyś, gdybym umarła?” — „Prawdopodobnie to, co ty!” — „To widać znowu, jaki z siebie gałgan”.

SŁUSZNIJE.

Kierownik składu do sprzedawcy, który niezbyt grzecznie odprawił klientkę: „Niech pan to sobie zapamięta Klienci zawsze mają słuszość!” — „Tak? Ta pani powiedziała, że mamy istną tandetę”.

DŁUGI SPACER.

„Słuchaj chłopcze, czy mogę z twoim ojcem mówić?” — „Niestety, ojciec poszedł do sądu”. — „To samo powiedziałeś mi już przed miesiącem!” — „Pewno, lecz ojciec odtąd jeszcze nie wrócił”.

ZA KRĘCENIE PŁYT GRAMOFONOWYCH?

Podczas dyskusji w sejmie nad budżetem ministerstwa poczty i telegrafu wyszło na jaw, że dyrektor „Polskiego Radja” pobiera rocznie 100 tysięcy złotych pensji.

Słusznie jeden z posłów, słysząc o tej horendalnej pensji dyrektora Polskiego Radja zawołał ze zdumieniem: „za co — za to kręcenie płyt gramofonowych?”

W OBCYM KRAJU!

Pewien cudzoziemiec chce w restauracji paryskiej zamówić grzyby. Nie wiedząc, jak się grzyby nazywają po francusku, namalował kelnerowi na papierze kształt grzyba. „Łuj, mesjyy, łuj” — odpowiada uczynny kelner i przynosi... parasol.

NAWZAJEM.

Przed wakacjami nauczyciel żegna się z uczniami z każdym z osobna „A ty, mój Feliksie” — mówi nauczyciel do trochę rozmarzonego chłopca, „bądź zdrow i przynieś po wakacjach trochę więcej rozumu”. Feliks (ze szczerością): „Dziękuję pięknie, nawzajem...”

DON JOSE ST. NOARRO.

2)

ZDOBYWCA AFRYKI

POWIEŚĆ.

— Mistrzu fryzjerjologii! Szalona okazja! Dziś twoja brzytwa spocznie na obliczu przyszłego władcy Kamerunu. Dlatego proszę cię o kredyt.

— Przepraszam. Kamerun czy to nie jest nowy eliksir na porost włosów?

— Coś takiego — śmiał się Stefan. Jest to specyfik na przyrost naturalny ludności.

— Na przyrost naturalny?

— Tak. Kolonie. Rozumiesz pan. Kolonie polskie dla polskiej emigracji.

— Rozumiem. Panie gubernatorze Kamerunu, czy mogę ogolić? Może kolońska woda dla znakomitego kolonizatora — błysnął białkami zadowolony z dowcipu.

— Dzięki. Jestem i tak już piękny. Popędził dalej. Godzina dwunasta biła na zegarach. — Świetnie akurat trafię na jakąś figurę w Towarzystwie Emigracyjnym, — wyłonił błyskawiczną decyzję.

Po kwadransie siedział już w gabinecie dyrektora, który był jego znajomym.

— Kochany dyrektorze. Oto jestem skruszony winowajca. Ja stary Afrykańczyk dawnom tu powinien być.

— Cóż doktora sprowadza?

— Mam zamiar zdobyć dla Polski kolonie — brawurował prosto z mostu.

— Śmiała idea. Ale sposoby?

— Sposoby. Agitacja i jeszcze raz agitacja. Mam plan szeregu odczytów z mojej afrykańskiej wólczeği. Przy okazji będę nawoływał do stworzenia Towarzystwa Kolonizacyjnego — kreślił błyskawicznie plan akcji.

— Doktor się egzaltuje. To sprawa daleka i trudna.

— Właśnie dlatego godna uwagi, wysiłku. Chwilowo zresztą chciałem tylko prosić dyrektora o pomoc w zorganizowaniu pod auspicjami Towarzystwa Emigracyjnego moich odczytów. Dalsze formy działania przyszłość ustali.

— Na to zgoda. Szczegóły załatwi sekretariat. Dyrektor spojrział uważniej na przybysza.

— Coś pan wyglądasz mizernie.

— Ech, tak, może... spletał się Stefan, zaskoczony. — Ale to minie. Wszystko ma swój kres. Zaczynam nową epokę życia, mam ideę.

— Idea, idea — wielka rzecz! Wiesz co, przyjacielu, chodź ze mną na obiad, pogadamy o twoich ideach.

— Ależ dziękuję, doprawdy, czeka mię w domu obiad z żoną, to jest żona z obiadem.

— Więc ożeniłeś się?

— Tak, przed kilku laty.

— Ach, wstrętny sobku. Nikomu żony nie pokazujesz! Wstydz się. Czekaj, zaraz! Żona to znaczy rodzina, obowiązki. — Dyrektor sięgnął po książeczkę czekową. Masz tu zaliczkę na honorarium odczytowe.

— Skąd, za co? Niewiadomo czy się uda?

— Musi się udać. Cóż byłoby z twoją ideą.

— Musi się udać! — odparł z mocą Stefan, serdecznie ściskając wyciągniętą dłoń kolegi.

W parę godzin potem pukał Stefan do drzwi ks. Kordjana, wikariusza przy kościele św. Krzyża, swego dobrego przyjaciela, w rozmowach z którym szukał nieraz otuchy.

— Księżę Kordjanie, czy ksiądz pojedzie na misję? — zapytał na polu żartobliwie.

— Skąd ta myśl?

— Trochę z powietrza. Ale to będzie rzeczywistość.

— Co?

— Kolonie dla Polski.

— Kolonie?

— Tak, drogi księżę, kolonie! W Polsce jest nadmiar rąk, jest bieda. Na roli już ciasno. Potrzebujemy szerokiego oddechu, wielkich przestrzeni. Podejmując więc sprawę kolonij polskich w Afryce.

— W Afryce? Ależ klimat? zresztą jak do tego dojdziemy — mówił, zaskoczony ks. Kordjan, nieco chaotycznie.

— Klimat? — nie taki znów straszny. Wiem, bo tam byłem. Jak dojdziemy — wielkim zbiorowym wysiłkiem całego narodu. Twardą nieustępliwą wolą. Pomódl się księżę Kordjanie za pomyślność tej sprawy!

II.

— Stefek wstawaj — coraz natarczywiej nawoływała żona, z niepokojem wsłuchując się w tykot zegara, który z nieubłaganą systematycznością wskazywał płynące godziny.

Było rzeczywiście późno. Coś około dziesiątej. O tej porze Stefek powinien już właściwie być w biurze.

Tymczasem Stefek przewracał się jeszcze w półśnie, z którego nie zdolne były go wyrwać słabe reakcje nerwów na owe jak mucha napastliwe — „wstawaj“!

Czuł, że jeśli nie pości jeszcze choć kwadransik, będzie przez cały dzień chodził jak rozbity parowóz; całe ciało ogarnęło odrętwienie...

Nic dziwnego, poprzedni dzień spędził dość pracowicie. W biurze wykończył ważną robotę. Po południu odbył szereg wizyt, połączonych ze sporym spacerem. O godz. 8-iej do 10-iej wieczór miał propagandowy odczyt o zadaniach państwa w dziedzinie emigracji. Wygłoszenie dłuższego przemówienia dziwnie zagrzewa organizm. Pulsy gwałtownie biły mu w skroniach, język wyschły z trudem obracał się w rozpalonych wargach. Nie mówiąc już o skutkach emocji, spowodowanej niepewnością wrażenia, jakie się ostatecznie wywrze na słuchaczach.

Po tem wszystkim musiał jeszcze na piechotę powrócić do domu, by oszczędzić te kilka groszy, które błąkały się po obszernej kieszeni marynarki. Trzy kilometry marszu wśród wiatru i nocnego chłodu nie przyczyniły się oczywiście do zmniejszenia całodziennego zmęczenia.

Kiedy wreszcie zasiadł wieczorem przy stole nad dzieżką mleka, stanowiącego normalną jego kolację, roztajał nieco, rozgrzał się i jakby wypoczął. Pozwoliło mu to zainteresować się różowym buziakiem Marysi, spojrzeć z radością na jej przytulne ramiona.

Miłosny uścisk, którego nagle zapragnął, jako nagrody po pracy, dokonał dnia.

Nad ranem, owładnięty jeszcze snem, co nie pochłonał całego zmęczenia, odczuł dopiero, z jak szaloną rozrzutnością żył wczoraj. Czegoż miał żałować? Chwili miłosnego zapomnienia? A przecież nic nie powinno stanąć na przeszkodzie sprawy, którą zamierzył. Lecz tak mało jest chwil wzajemności, w których byli wyłącznie dla siebie, sobie tylko oddani w miłosnym odurzeniu, niepomi na wszystkie sprawy wielkiego świata. A jednak i wówczas był jej prawie wrogi. Fała miłosnej rozkoszy porывała go swym urokiem. Maryja pragnęła zaś nietylko być przezeń posiadana, ale posiadać jego myśli, dążenia, troski. Nieraz tęskniła, że przyjdzie do niej ufny, gotów do zwierzeń i popłyną ciche słowa skargi, rozwiną się miraż nadziei, cały świat jego myśli, w którym żyje i którego urzeczywistnienie tak go pochłania.

— Stefek wstawaj — zawołała Marysia. I widząc bezskuteczność swych nawoływań, stanęła nad nim, dotykając z lekka jego ramienia. Bruzda troski przecięła jej czoło.

Stefan ostatnio był dziwnie zamknięty w sobie. Trudno było wydobyć zeń choć słowo o zamierzeniach na przyszłość. Był zupełnie inny, niepodobny do tego dawnego Stefka, który niegdyś zasypywał ją poezjami, gorącymi wyznaniem, słowami palącymi jak lawa. Nie mogła zrozumieć, że to było wówczas konieczne, było sposobem jej zdobycia, fragmentem walki o kobietę. Potem się dokonało. Posiadł ją, zaspokoił swe pragnienia i wyschły źródła intelektualnej podniety, jakie rodzi walka, uparte dążenie do wytkniętego celu.

Stefan nie był naturą miękką; wypełnianie całego życia bezplanowym liryzmem było mu obce i wrogie. Nie lubił opowiadać ludziom tego, co miał robić, jeśli ludzi tych nie należało zdobyć dla swej idei. Był cały w czynie, a słowem posługiwał się jako narzędziem walki, przykuwania ludzi do rydwanu swych zamierzeń.

W jego umyśle plany rodziły się błyskawicznie, jak meteory spadały z nieświadomego napłaszczynę jego woli i w gotowej formie oczekiwały na czyn. Na słowo rozkaz, a nie słowo-refleksję. Był zdobywcą, który wytyka nowe tory ludzkich dziejów.

Oczywiście ucieszyłby się, widząc żonę wśród grona słuchaczy, choćby wczorajszego odczytu.

Jego plany potrzebowały estrady, tłumu. Wobec jednej osoby, choćby to była jego żona, cichły, milkły, stawały się beztreściwe, jakby nieme.

Nawet dla niej nie zdobyłby się więc na wysiłek powtórzenia swych myśli, planów...

Stefan ostatecznie jednak przemógł się i zerwał się energicznie z łóżka. Podniosła go myśl, że dzisiaj miał odbyć decydującą rozmowę z hr. Żarnickim, którego olbrzymie środki finansowe postanowił zdobyć dla swej imprezy afrykańskiej.

Oczekująca go przeprawa wymagała skupienia się i przełamania właściwej mu niechęci do wykładania swych zamierzeń przed jednym człowiekiem.

Myjąc się, obserwował przez okno, jak na podwórze wszedł handlarz starzyzna, żydek o dziwnie brzyd-

kiej, małpiej twarzy. Na jego nieszczęście znajdował się tam stróż, przysięgły wróg wszelkich domokraców. Handlarz spostrzegł go, nie dał jednak za wygraną. Wykonał kilka niezdecydowanych ruchów i posunięć, próbując jakby się najlepiej umiejscowić dla swej handlarskiej inkantacji i nagle, chcąc zaskoczyć czyhającego nań przeciwnika, otworzył usta do krzyku: „Starzyznę sprzedaje“.

Nie zdołał jednak wydobyć z gardła głosu, gdyż sparaliżował go strzał zakazu: „Jazda stąd. Wynos się żydzie“!

Jak pies, co z podkulonym ogonem ucieka od rąw, zawiął się z miejsca i już go nie było.

Całe wydarzenie nappełniło Stefana malancholijnym humorem. Szanse powodzenia w życiu mogą zepsuć czasami stróż, lokaj i tym podobne cerbery. Ziarno piasku zatrzymuje zegar.

Przecież i on, zanim stanie przed obliczem swego ewentualnego mecenasa, musi najpierw pokrótce wyśpowiadać się przed jego lokajem.

Godziny biurowe odsiedział, jak na rozżarzonych węglach, niezdolny do wydajnej pracy, myślą krążąc wokół zbliżającego się spotkania z hrabią. Gdyby hrabia zechciał zaangażować się finansowo, połowa dzieła byłaby gotowa — po raz setny powtarzał sobie niby formułę zaklęcia.

Otuchy dodała mu ranna prasa, zachłystująca się zachwytaami nad jego wczorajszym odczytem. „Znakomity projekt stworzenia zamorskiej potęgi Polski“.

„Kwadrans rozmowy z twórcą wielkiego programu kolonizacyjnego“ — śpiewały triumfalne tytuły.

Należało przypuszczać, że hrabia czytał pisma, musiało go więc zaintrygować, z czym przychodzi jego imiennik.

Kiedy się zjawił w pałacu hrabiego, przyjął go lokaj nie przypominający niczem typowej tej postaci. Nie miał ani bakobrodów, nie był też bynajmniej gładko wygolony, nie miał zielonego fartucha. Stefan trochę się speszył. Czuł się onieśmielony wobec tego eleganckiego mężczyzny, który pod wypielęgowanym wąsem uśmiechał się z nieodzowną uprzejmością a jednak wyniośle.

— Stefan Żarnicki — szeptem (ze zdławionego dziwnie gardła dobytym), oznajmił się przybyły, zdecydowany na długie czekanie.

— Pan będzie łaskaw spocząć — zachęcał go lokaj i oddalił się w głąb mieszkania. W parę minut wrócił ze słowami:

— Pan hrabia oczekuje pana — otworzył drzwi do gabinetu. Stefana zaskoczył ten pośpiech — chce się mnie prędko pozbyć! — postawił opaczny wniosek.

Pokój był pusty. Proste, ale wygodne meble angielskie, szeroki stół, biurko zarzucone po brzegach pismami i papierami z pewnym artystycznym niedbalstwem — całość sprawiała wrażenie przybytku pracy spokojnej, nieprzymuszanej, tem nie mniej serjo.

Gospodarza jeszcze nie było.

Stefan nie zdążył jednak dojść do biurka, gdy uchyliły się przeciwległe drzwi. Wszedł hrabia spokojny, opanowany. Był pod każdym względem u siebie w domu — sformułował Stefan pierwsze wrażenie. Wykwintny ubiór uwydatniał jego wysoką, wysmukłą postać. Piękną twarz ożywiało dwoje oczu jasnych, inteligentnych. Biło odeń urodą młodości i dobrej rasy.

Zbliżył się do Stefana i ruchem przyjaznym powitał.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE

Dnia 7 listopada 1932 r. w ostatni słoneczny dzień złotej, polskiej jesieni we Lwowie grono krewnych, przyjaciół i znajomych odprowadziło na wieczny spoczynek zwłoki ś. p. Wincentyny Hołubowej.

Ś. p. Wincentyna Hołubowa, żona notariusza lwowskiego, była córką Maksymiljana Gidlewskiego, rejenta w Kielcach, człowieka nieposzlakowanej czci i Marji z Osuchowskich, siostry mecenasa Antoniego Osuchowskiego, znanego wielkiego jałmużnika, założyciela i prezesa Towarzystwa Opieki kulturalnej nad Polakami zagranicą im. A. Mickiewicza.

Matka śp. Wincentyny wychowywała się z Klementyną z Tańskich Hofmanową i przyjaźń, która łączyła ją ze znakomitą powieściopisarką nie miała wpływu wywarła na wychowanie ś. p. zmarłej.

Ś. p. Wincentynę wydała na świat ziemia miechowska, ta ziemia przesiąknięta krwią powstańców polskich. Dzwony ostatniego nieszczęśliwego powstania były nad jej kołyską, a obraz zgłiszcz domu rodzicielskiego i cudem w ogniu powszania ocalonego od śmierci ojca na zawsze pozostał Jej w pamięci.

Dzieciństwo Jej upływało w Kielcach, starej siedzibie biskupiej. Atmosfera surowych zasad katolickich i prawdziwego patriotyzmu, owianego smutkiem doby popowstaniowej, która panowała w domu rodzinnym, kształtowała charakter i usposobienie młodego dziewczęcia. Bardzo urodziwa i obdarzona wielkimi zdolnościami rwała się do życia — lecz w duszy nosiła od zarania młodości rys głębokiego tragizmu pokolenia urodzonego w niewoli. Wielki talent śpiewacki, rozwijany umiejętnie przez włoskiego mistrza sztuki śpiewackiej, otworzył w niej pragnienie poświęcenia się scenie. Ale szczęśliwe zamążpójście położyło kres dziewczęcym marzeniom, a życie rodzinne i wychowanie córek stało się celem Jej życia. Ktośkolwiek jednak Ją znał w Jej młodych latach, pamięta jak swym śpiewem umiała wyczarowywać prawdziwe pięk-

no i wyrazić nim całą głębię swej bogatej, gorącej uczuciowości.

Tę uczuciowość i tęsknotę za prawdą i pięknem przelała w córki swoje starszą Romanę Stanecką, wdowę po ś. p. Zdzisławie, bibliotekarzu Politechniki lwowskiej, zasłużonym badaczu na polu elektrotechniki, i Zofję Pacewiczową, geografkę, żonę artysty-malarza. Dała im niezwykle staranne wychowanie i wszechstronne wykształcenie. Jako ofiarna matka, głęboko rozumiejąca potrzeby i zamilowania młodego pokolenia, nie broniła młodszej córce wstąpienia na drogę naukową, mimo, że hasła emancypacji kobiet obce były Jej samej w młodości.

Nie zawahała się też oddać teźże córki w szeregi walczących w Obronie Lwowa w 1918 r. I choć serce matczyne rwało się z niepokoju, mężnie znosiła tę troskę dla dobra Ojczyzny.

Dzielna i wierna towarzysząca życia swego małżonka umiała osłonić go przed niejednym ciosem i niestrudzoną opieką swą wyrwać go śmierci w ciężkiej chorobie. Dotrzymywała mu kroku do ostatka, gdy w zawierusze wojennej, podczas kilkakrotnych inwazyj rosyjskich w Brodach, trwał na posterunku dopóki władze nie zmusiły go do ustąpienia z kresowej placówki.

Gdziekolwiek się pojawiła wszędzie niosła ulgę niedoli ludzkiej czynem ofiarnym, a cichym bez rozgłosu, którego nie znosiła. Znana ze swej staropolskiej gościnności, która przyciągała licznych znajomych i krewnych, chętnie skupiała w swym domu wszystkich, którzy w Jej prawdziwie mądrym macierzyńskim sercu szukali rady, oparcia lub pokrzepienia.

Otaczał Ją powszechny szacunek i miłość bliźnich, bez różnicy wieku, wyznania i narodowości, bo umiała z głębi przekonania całym życiem i każdym czynem i myślą wypełniać przykazania Chrystusowe i świecić swoim przykładem.

Głęboko religijna, w niezłomnej swej wierze szukała zawsze siły i pociechy w troskach. Przez całe życie nie ustawała

w służbie bożej pomimo wątłych sił fizycznych; a nawet już pod koniec, starzana chorobą, co dnia o świtanie, latem i zimą krzepiła serce swe czyste żarliwą modlitwą podczas Mszy św. Widziano Ją już z pierwszym brzaskiem, śpieszącą do kościoła, zarówno w mroźny ranek zimowy jak w szarugę jesienną.

Szczodra dla ubogich i kościołów szczególną opieką otaczała polskie misje katolickie, wspierając je materialnie i szerząc zrozumienie ich celu przez prenumeratę pism misyjnych. Wierzyła bowiem w posłannictwo misyj nad nawróceniem rzesz spragnionych Świątą i rozumiała dobrze potrzebę popierania polskich misyj, pozbawionych często środków do walki ze szczególnymi trudnościami przy wypełnianiu szczytnego zadania religijnego i kulturalnego.

Jak prawdziwa polska matrona stała nieugięta na straży domowego ogniska, niosąc wysoko swą cześć kobiecą, godność obywatelską, i nigdy nie zbaczając z drogi najistotniejszej rozumianego obowiązku kobiety-Polki. Dla siebie nie żądała niczego, a wszystko oddała drugim. W pogardzie dla uciech doczesnych karmiła się wewnętrzną treścią ducha i w twardej pracy codziennego dnia wykuła bohaterskim, a cichym wysiłkiem hartownej woli swoje człowieczeństwo.

O niezwyklej wyrobieniu Jej woli świadczyły też ostatnie dni Jej życia. Nadludzkim wysiłkiem utrzymywała się na nogach, nie chcąc się poddać niemu, aby jak najdłużej otaczać najbliższych swą niezrównaną opieką. Śmierć swą przeczuła zawczasu i przygotowała się do niej, a trwając do końca na posterunku stała się podobną tym rycerzom-powstańcom, których obraz przez całe życie w duszy nosiła. Aż jednej listopadowej nocy, gdy zabily dzwony na pierwszą Mszę nad ranem, odeszła na zawsze, bez skargi, cicho, a świadoma wielkiej Tajemnicy.

Było to o tej samej godzinie, o której co dnia zwykła była śpieszyć do kościoła.

„Błogosławieni cisi i pokornego serca, albowiem oni Boga oglądają”.





NA FALACH CZASU

Wywróciły się dwa rządy Francji i Niemiec, a trzeci angielski jest trochę zagrożony. Paul Boncour upadł od ciosu z lewicy, gen. Schleicher — z prawicy. O francuskim premierze mówiono w Paryżu, że zajęty jest głównie wyborem chwili, aby upaść „pięknie, z gracją i na miękko”. Czy dokonało się to po myśli Paul Boncoura — nie wiemy. Obaliła go koalicja grup umiarkowanych i socjalistów. Oba przeciwległe odłamy głosowały z różnych pobudek. Grupy umiarkowane (dawny obóz Tardieu) zwalczały plan finansowy rządu od początku, widząc w nim zagrożenie podstaw tradycyjnej gospodarki społecznej Francji. Socjaliści wnieśli własny projekt finansowy o cechach wybitnie klasowych, antymieszkańskich. Komisja finansowa izby deputowanych, ulegając złudzeniu utrzymania jedności kartelu radykałów z socjalistami, poczyniła ogromne ustępstwa na rzecz żądań tych ostatnich, sporządzając w ten sposób niestrawny bigos. Minister Chéron na plenum izby musiał sprzeciwić się temu niedorzecznemu elaboratowi izby, tracąc głosy socjalistów i nie pozyskując głosów prawicy. Rząd upadł, mając około 200 głosów większości przeciwko sobie. Min. Chéron, podobnie jak przed siedmiu blisko laty Poincaré został predestynowany do walki z deficytem, którego stały wzrost zaczyna niepokoić już opinię publiczną, na którą są tak czule obie izby francuskie. Niedobór budżetowy, który 1-go lipca 1932 r. wynosił 7 miliardów, wzrósł w ciągu pięciu miesięcy do sumy 12 miliardów (17 grudnia). Według prowizorycznych obliczeń wynosi on dzisiaj ogromną sumę 15 miliardów franków. W ciągu grudnia i pierwszych dni stycznia wypuszczono bonów skarbowych na przeszło 10 miljar., co podniosło ich obieg do 19 miliardów. Dalszy wzrost deficytu, nawet mimo silnych rezerw skarbowych grozi inflacją, któraby była równoznaczną z całkowitem poderwaniem zaufania do franka nie tylko społeczeństwa, ale przede wszystkim kapitałów zagranicz-

nych, które w ostatnich latach chętnie szukały lokaty we Francji.

Pomysł Chérona ratowania budżetu przez podniesienie podatków spotkał się z energicznym sprzeciwem organizacji społecznych.

Protest organizacji polegał na afiszu, na którym wyliczono, o ile więcej zapłaci gospodyni gdy idzie na targ po zakupy i ile jest w tem podatku pośred-



Byli kancl. Schleicher z małżonką.

niego. Oto część tych cyfr: litr wina — 1 fr. 80 c., w tem podatku — 22 c., kilo cukru — 3 fr. 80 c., w tem podatku 1 fr. 5 c. paczka herbaty — 4 fr., podatku w tem — 1 fr. 28 c., paczka kawy — 4 fr., w tem podatku — 1 fr. 60. i t. d.

A teraz — głosiła odezwa — będziecie płacić jeszcze o 5 proc. więcej jeżeli projekt p. Chérona będzie uchwalony.

Ta właśnie odezwa musiała zniewolić większość Izby do odrzucenia tej części projektu rządowego.

Dziś Francja zajęta sprawami swej wewnętrznej gospodarki nie będzie mogła dostatecznie przeciwstawić się naci-

skowi niemieckiej polityki. Kto wie, czy nie znajdzie się jakiś drugi Briand, co to w Thoiry za iluzję korzyści gospodarczych czynił Niemcom w osobie Stresemanna koncesje terytorjalne, odnośnie Belgji i Polski. W Niemczech bowiem dochodzi do głosu agresywna prawica. Upadek Schleichera jest jej dziełem. Usiłowania kanclerza Schleichera w kierunku zmontowania koncentracji narodowej, na której mógłby się oprzeć, skończyły się niepowodzeniem. Największy zawód sprawili mu niemiecko-narodowi, którzy zaatakowali go bodaj że jeszcze gwałtowniej niż hitlerowcy. Schleicher zwrócił się zatem do prezydenta Hindenburga o pełnomocnictwo do rozwiązania Reichstagu. Chciał rządzić bez parlamentu, jako mąż zaufania prezydenta. Hindenburg odmówił i Schleicher wraz z całym gabinetem podał się do dymisji.

Po dłuższych korowodach stanęło na tem, nad czem już oddawna stanąć powinno. Oto Hitler został kanclerzem Rzeszy. Niewątpliwie dla całego szeregu pism w Polsce, które z dziwną uprzejmością przepowiadały bankructwo Hitlera, jest to poważna niespodzianka. Pozwolimy sobie wobec tego przypomnieć, co pisałem w Nr. 10 Rodziny Polskiej str... Wskazując na rozwój t. zw. kontrrewolucji w Niemczech, powiedziałem: „Obecnie zbliża się etap czwarty, oddanie władzy hitlerowcom, którzy kontrrewolucję pravicową zakończą, zmieniając konstytucję weimarską i ustanawiając „trzeci Rzeszę”. Pierwszy krok już zrobiony: Hitler ma władzę. Dalsze postępy zależeć będą od tego, czy Hitler zdoła dojść do kompromisu z kołami junkierskimi. Rola innych ugrupowań, jak socjalistów, skończyła się. Hitler wygląda jednak na poważniejszego gracza niż to się przeciętnie mniema. Jeśli nie dozna zawrotu głowy na fotelu kanclerskim, to będziemy mieli rozpoczętą nową ciekawą kartę dziejów niemieckich. Hitlera czeka oczywiście próba sił i to bardzo niebezpieczna, bo z komunistami. I to stanie



Daladier.

się najważniejszym kamieniem probierczym jego politycznego wyrobienia. Przedewszystkiem jednak Hitler musi poszukać oparcia w Centrum, którego wódz ks. pralat Kaas będzie się liczył z opinią związków zawodowych, niechętnych hitlerowców. O ile porozumienie w tym kierunku nie da wyników, Hitler ma już podobno pełnomocnictwo do rozwiązania Reichstagu.

Wewnętrzne i zewnętrzne położenie Jugosławji jest naprawdę trudne. Nic dziwnego, że szuka ona oparcia u innych. Król Jugosławji, Aleksander, przybył wraz z żoną królową Marją, w odwiedziny do szwagra swego króla rumuńskiego Karola, który przyjął go w swej rezydencji podgórskiej w Sinaia. Oficjalnie wizyta nosi charakter prywatny, niemniej jednakże zarówno obecność obu ministrów spraw zagranicznych jugosłowiańskiego p. Jęfticza i rumuńskiego p. Titulescu, jak również zapowiedzi prasy wskazują, że omawiane tam będą doniosłe sprawy międzynarodowe, przedewszystkiem jak twierdzą, sprawa stosunku obu państw do Włoch.

Sytuacja Jugosławji jest, jak wiadomo, wcale poważna i kierownicy polityki jej mają bardzo trudne zadanie w ustaleniu dróg zarówno wewnętrznej, jak zewnętrznej polityki swego państwa. Naprężenie wewnętrzne nie zmniejsza się, ale rośnie, zarówno z powodu kryzysu, jak i dlatego, że zatarg z Chorwatami przeniósł się obecnie na grunt wyznaniowy. Episkopat katolicki Jugosławji, a więc episkopat chorwacki i słoweński ogłosił świeżo list pasterski przeciw „Sokołowi”, który w Jugosławji ma dziś z urzędu oddane wychowanie fizyczne, jako organizacji wrogiej Kościołowi, zatargi z klerem, z tych czy innych powodów są na porządku dzien-

nym. Do porozumienia z Chorwatami nie dochodzi, wśród Serbów coraz żywsze są ruchy opozycyjne, a nawet republikańskie. Utrudnia to wszystko ogromnie pozycję Jugosławji w stosunkach międzynarodowych. Najważniejszą bodaj zdobyczą opozycji chorwackiej jest pozyskanie sobie opinii angielskiej, a ostatnio i francuskiej, nie mówiąc już o włoskiej i częściowo niemieckiej. Obie izby parlamentu angielskiego i prasa angielska były w ostatnich tygodniach terenem bardzo ostrych wystąpień przeciw obecnemu stanowi rzeczy w Jugosławji, żądań ustroju federacyjnego i zmiany systemu rządów. Podobne głosy odzywają się we Francji, nie mówiąc już o systematycznej kampanji antyjugosłowiańskiej, prowadzonej przez prasę włoską. Szpalty jej wypełnione są opisami prześladowań Chorwatów i nadużyć władz administracyjnych, zbrojeń na granicy bułgarskiej czy włoskiej, wiadomościami o transportach broni idących przez Tessaloniki z Francji i drogą lądową ze Szwajcarii. Słowem mnożą się objawy izolacji Jugosławji wśród wielkich mocarstw, a oba państwa małej koalicji niezbyt śpieszą z obroną sprzymierzeńca. Trudno oczywiście dawać wiarę pogłoskom, jakoby na wiosnę groził na Bałkanach konflikt zbrojny z powodu walki o wpływy w Albanji ale, że one nie ułatwiają sytuacji, to pewna. Nic dziwnego, że Jugosławja szuka jakiegoś pośrednika, któryby ułatwił jej wyjście z sytuacji, i że Rumunja chętnie weźmie na siebie pośrednictwo.

Wyrazem wewnętrznych tarć w Jugosławji są liczne aresztowania. W dn. 27 stycznia r. b. został aresztowany przywódca dawnej Słoweńskiej Partji Ludowej, były premier jugosłowiański dr. Koroszec. Aresztowanego odwieziono do miejscowości Brniacka Bania, leżącej koło Niszu. Oprócz tego władze aresztowały szereg innych dawniejszych polityków, m. in. byłego ministra Kuloweca. Aresztowania te wywołały w całej Europie zrozumiałą sensację. Dotyczy to zwłaszcza osoby dra. Koroszeca,



Paul Boncour.



Hitler.

gdyż jest to mąż stanu o światowej sławie i jeden z głównych twórców współczesnego państwa jugosłowiańskiego. Słoweńska Partja Ludowa była stronnictwem politycznym najbardziej zasłużonym przy formowaniu się obecnej Jugosławji. Założył ją w roku 1872 ks. Antoni Mahnic. Zadaniem jej i celem była walka o byt narodowy w byłej monarchji austro-węgierskiej, gdzie ludność chorwacka i słoweńska była narazona na germanizację z jednej strony, a z drugiej na madziaryzację. Trzy szczepy słowiańskie: Serbowie, Chorwaci i Słoweńcy, zamieszkujący dzisiejsze państwo jugosłowiańskie, walczyli w okresie przedwojennym na trzech różnych odcinkach wspólnego frontu: Serbowie militarnie przeciwko Turkom i Bułgacom, Chorwaci bronili się przed zalewem niemieckim, zaś Słoweńcy opierali się madziaryzacji. Dr. Koroszec wybił się na czoło słoweńskiej partji ludowej w czasie wojny i pierwszym jego aktem o rozgłosie międzynarodowym była deklaracja złożona w dniu 30 maja 1917 r., domagająca się w imieniu samostanowienia o sobie narodów, połączenia trzech szczepów południowych Słowian. W rezultacie 20-go lipca 1917 r. został zawarty przez dra. Trumbicza w imieniu południowych Słowian, będących pod panowaniem Austrii i króla serbskiego słynny pakt na wyspie Korfu, który stał się podwaliną dzisiejszego królestwa S. H. S. W pierwszym rządzie nowopowstałego państwa był dr. Koroszec wicepremierem, dnia zaś 28 lipca 1928 r., po osławionych krwawych zamachach w Skupszczyźnie, został premierem. W jesieni jednak 1930 r. podał się do dymisji „ze względów zdrowotnych”, a w rok później już po nastaniu dyktatury generała Żiwkowicza wystosował protest przeciwko wprowadzonej w życie bezprzykładnej ustawie wyborczej.

ZE SZTUKI Z TEATRU

Na rachunek zasług, „Zachęty” należy zapisać wystawę Michaliny Krzyżanowskiej. Wybitna ta indywidualność malarska zasługuje na szersze spopularyzowanie wśród społeczeństwa. W sztuce p. Michal. Krzyżanowskiej są pewne cechy pokrewne malarstwu jej męża Konrada. A więc rozmach kolorystyczny, operowanie szeroką plamą dramatyczną ogólniej ekspresji artystycznej. Pejzaże p. Michaliny Krzyż. nasycone są wybitnie elementem dramatu, który wynika z głębokiego odczucia gry światłocienia.

Artystka umie przelać dramat przyrody w formy artystycznej ekspresji.

W zakresie takiego dramatyzowania pejzażu mistrzem jest też Szczygliński, którego dzieła pokazała nam „Zachęta” na jesieni. Jego „Sosna” na tle nieba przed burzą jest arcydziełem inwencji artystycznej I. P. S. dał nam po dorocznym salonie, który nie zaznaczył się niczym wybitnym, wystawą retrospektywną Lenza. Urodz. w r. 1863 uczeń Gersona i Matejki, Lenz wydoskonił swą technikę w Monachjum, gdzie otrzymał medal za portret „Pięknej Adelaidy”, głośnej modelki. Po zawadzeniu o Paryż, którego impresjonizm pozostał mu obojętny, Lenz wrócił do Warszawy.

U nas coprawda działali też zwolennicy impresjonizmu jak Kędziński, Pankiewicz Fałat, Podkowiński, ale Lenz z nimi nie poszedł. Pochłonął go problem portretu, w zakresie którego jest niezrównanym mistrzem. Mistrzem jego był holender Hals z Haarlemu. Lenz poszedł po linii największego oporu, t. j. tworzył „charaktery”, dążył do ekspresji dramatycznej. Jego portrety są studjami psychologicznymi a nie wzorami „jurnalno mód”, jakie przeważnie tworzą banalni portreciści.

To też najczęściej srona kostjumowa modela jest mocno zaniedbana.

O jego autoportrecie ułożono z tej racji następujący epigram:

„Taki portret zrobił własny
Lenz, artysta pierwszej miarki.
Lecz dla wszystkich fakt niejasny,
Czemu jest bez marynarki?”

Okres rewolucji 1905 oddziałal wybitnie na charakter twórczości Lenza, manifestującej się takimi dziełami jak „Strajk” i „Wiec”.

W dorobku Lenza mamy szereg portretów zbiorowych jak „Profesorowie Szkoły Głównej”, „Członkowie Tow. Naukowego”. Miał zamiar też sportretować pierwszy sejm Polski niepodległej.

J. Cz.

Teatr Narodowy w ostatnich czasach miał na swym repertuarze szereg ciekawych lub wielkich sztuk.

Z racji jubileuszu Wyspiańskiego szło więc „Wesele”, które ujęto w trochę odmienną od dotychczasowej inscenizację, nie na wszystkie jej pomysły nie wszyscy się godzili. Interesujący problem przyniosła „Pierwsza sztuka Fauny” B. Shaw. Jest to jedna z wcześniejszych sztuk genialnego kpiarza, przypominająca swymi tematami założeniami graną niedawno „Komplikację”.

Shaw rzuca w swej sztuce snop przenikliwego światła na życie rodziny angielskiej i demaskuje szereg jego słabych stron z punktu widzenia wychowawczego. Autor jest bezwzględny w ocenie tylko lekko powiedziawszy niedociągnięć atmosfery rodzinnej, które doprowadzają do tak skandalicznego prowadzenia się córeczki Fauny i jej brata.

Ta brutalna szczerość z jaką autor mówi o całym problemie może jest i nieprzyjemna, ale korzystna; pełnowartościowy humor Shawa daje jednak tak wielką satysfakcję artystyczną, że wybaczymy staremu gadule wszystkie, jego zbyt jaskrawe forte.

Swego rodzaju konflikt między starszym i nowym pokoleniem, dziećmi i rodzicami odmalowuje Szaniawskiego „Most”. Do starego przewoźnika, któremu nowo wzniesiony most odebrał zarobek i coś o wiele większego ostoję życia — cel, przyjeżdża syn-architekt.

Między ojcem i synem istnieje jakaś głucha niechęć czy nieporozumienie. Mamy tu problem dwu światów myślowych, między którymi niema prawie żadnej łączności.

Stary przewoźnik żyje tragedją, który stworzył w nim most, młodzieniec jest z tych, co mosty budują. Dla starego przewoźnictwo było nie tylko środkiem zarobku, ale i ośrodkiem życia duchowego. Most to wszystko zniszczył. Most jest więc tu symbolem pewnej dewaluacji i rewaloryzacji wartości, zależnie od tego, czy patrzą nań stare czy młode oczy.

Ostatecznie autor dokonytuje rozrachunku. Stary „przez zemstę” podcina pale mostu, który znosi fala powodzi. Kiedy zaś okazuje się że syn nie może przez to wysłać do miasta ważnych papierów, stary przeprawia się przez rzekę z dokumentami. Idzie na niechybną śmierć.

Młody godzi się na tę ofiarę ekspiacji.

Oczywiście autor trochę przesolił, o ile zrozumieliśmy jego intencje, dał nam w każdym bądź razie ciekawy problem i konflikt, raz po raz dźwięczący wysoką nutą dramatu.

Sztuka Krzywoszewskiego „Uśmiech hrabiny” jest komediowym uśmiechem, zaprawionym groteską ironji nad zestawieniem dwu światów: wsi spokojnej i bogobojnej z pokusami miasta, które reprezentuje trupa artystów kinematograficznych.

Autor niewątpliwie zna oba środowiska na wylot, to też uśmiech jego satyry ma dużo swobody naturalnej i wdzięku.

Bernard Shaw ma powodzenie. W Ateneum dają znów jego „Majora Barbare” sztukę malująca swego rodzaju społecznicę. W teatrze Polskim idzie frapujący reportaż p. t. „Kobieta, która kupiła sobie męża”. Autor odmalowuje dzieje starszej kobiety, która „kupuje” młodego męża, płacąc długi pewnego bankruta a następnie egzekwuje swą należność z rewolwerem pilnując czy każąc pilnować wierności kupionego męża. Jako rzecz kupiona jest on jej całkowitą własnością.

W groteskowym oświetleniu zjawia się tutaj problem małżeństwa z wyrachowania, problem mający swe liczne niebezpieczne zakręty i zgrzyty. Autor kończy niespodzianką „kupcowa” popelnienia samobójstwa, jest to jakoby jedyne wyjście z sytuacji. Pytanie tylko, po co najpierw było takie wejście i czy wyjście w tej formie jest konieczne i artystycznie usprawiedliwione u takiej hic mulier.

Sztuka Nicodennego „Cień” wprowadza nas w atmosferę dramatu małżeńskiego. Żona przykuta ciężką chorobą do łóżka i zupełnie unieruchomiona przez lat siedem, jest zaledwie towarzyszką duchową swego męża. Jest to artysta, który nie może poprzestać na samych platonikach, jego zmysły potrzebują podniety realniejszej. Żona to rozumie i podsuwa mu myśl, by znalazł dla siebie stosowne, a właściwie niestosowne zaspokojenie, jej ofiarowując przyjaźń. Lecz mąż nie jest zdolny do takiej o skomplikowanego rozwiązania. Nie może rozdzielić porwyw serca od dreszczu fizycznego, nie chce „zdradzać” cieleśnią a być wiernym duchowo. W rezultacie sprzęga się tajemnie z inną kobietą, trzeba przyznać mniej wartościową. Wtem grom z jasnego nieba. Żona wstaje uzdrowiona i chce odzyskać wszystkie swe prawa. Niestety jest zapóźno. Autor pozostawia nas w niepewności jaki będzie dalszy los małżeństwa tak zagmatwanego przez nieuporządkowaną moralność. A szkoda. Trzeba było postawić kropki nad i.

Dział Kobiecy

DLA DUSZY.

Jezus ma teraz wielu miłośników niebieskiego Królestwa swego; lecz mało takich, którzyby krzyż Jego dźwigać chcieli.

Wielu pragnie z Nim się pocieszać; lecz mało kto gotów jest cierpieć. Wielu pragnie z Nim się weselić, lecz mało kto chce dla Niego cierpieć. Wielu idzie za Jezusem aż do łamania chleba; lecz mało kto aż do spełnienia kielicha męki.

Wielu kocha Jezusa, dopóki nie spotkają przeciwności.

Wielu Go chwali i błogosławi, dopóki im ssyła pociechy jakie.

Skoro zaś Jezus utai się, i odstąpi ich na chwilę; natychmiast szemrzą, albo zupełnie upadają na duchu.

O naśladowaniu Jezusa Chrystusa
Tomasz à Kempis.

AKT WDZIĘCZNOŚCI

Wdzięczność — to jedno z najpiękniejszych uczuć, dyktowane przez szlachetne serca.

Spotyka się ją nieraz. Zawsze jednak wywołuje pewne wzruszenie i radość, że żyje, że jesteśmy świadkami jej istnienia, że nie legendą jest — a rzeczywistością.

Przed laty, pensja p. Marji Matuszewskiej, osoby wysoce wykształconej i pełnej cnót obywatelskich słynną była w Warszawie. Z czasem osobiste warunki życia Szanownej przełożonej — zmieniły się. Wprawdzie p. profesorowa Alfredowa Sokołowska, często wspominała minione chwile swej pracy samodzielnej, ale domowe obowiązki oderwały ją od niej — na zawsze. I, oto, po latach trzydziestu grono Jej umiłowanych uczennic pragnie Jej, wyrazić słowa czci i wdzięczności. One dziś prowadzą.

Ołtarz rzeźbiście oświetlony, w tym samym kościele na Lesznie, do którego prowadziła je kiedyś przełożona z obok mieszczącej się pensji. Ten sam Wielebny Ksiądz, który był ich katechetą odprawia Mszę św. przed tą samą Matką Boską, w srebrze, koralach i wotach, składanych przez pobożnych. Te same słowa modlitwy, którym towarzyszą pieśni kościelne i organy. Nastrój uroczysty, skupiony, poważny.

A potem — stoły, nakryte na **Sto** osób!

Któż je zajmuje?

Oto — sto dawnych uczennic zwołało się, zorganizowało i jednym głosem radości witają u progu sali swą **Przełożoną**.

I mówią Jej:

Tobie pani zawdzięczamy wszystko co w życiu cenne i drogie.

Tyś w nas rozwijała poczucie obowiązku. Tyś szczepiła miłość Ojczyzny. Ty uczyłaś zbyć egoizmów. Ty mówiłaś co znaczy cnota obywatelska. Ty szczepiłaś poszanowanie wszystkiego „co trza żeby święte było”. Ty, uzbroiłaś nas na życie, w szacu-

nek dla „wiary, miłości i nadziei”. A za to wszystko, co było podwaliną naszych kolei życia, dziś składamy Ci korne słowa czci, miłości i wdzięczności. Dzieciom naszym przekazujemy, wszystkie Twoje pani wskazania, i żyj nam, żyj sto lat! sto lat!!! rozlega się radośnie ze stu piersi, którym dzięczynnie, jak ciche oddalone echo, odpowiada wzruszenie „Pani Przełożonej”.

Niewymownie wdzięczną byłam temu świetnemu gronu, że mi pozwoliło być świadkiem tych podniosłych chwil, z racji przyjaźni, jaką mnie obdarza czcigodna Jubilatka, a którą się szczycę.

Sto kobiet, to sto rodzin. To promieniowanie na tysiące.

A wszystkie — młode i ładne. Nie malowane. Ubrane starannie i do twarzy — nie postrojone. Wszystkie pogodne. Swobodne. Uśmiechnięte.

Są między nimi i przełożone pensji, Doktorki mędy, Adwokatki. Na pewno widzieć można z ich powierchowości, ze sposobu bycia, wreszcie z wyrazu twarzy, że każda jest kimś, że coś robi, że ma życie z celem. Tak jest niezawodnie.

Co więcej, można niemal uogólnić spostrzeżenie doraźne, że muszą dawać szczęście, a więc i same czuć się szczęśliwymi. Co razem z ich Sz. małżonkami — daj Im Panie Boże niezachwianie.

Złożyło to grono niewiast dowody wielkich zasobów szlachetnych uczuć, które mają kierować w dalszym ciągu zorganizowaną przez nie pracę w „Kole Imienia Marji Matuszewskiej”.

A ta, która w Ich dusze siała dobre ziarna, a baczyla pilnie żeby żadne nie przepało, w ciszy domu swego po tej pięknej uroczystości powtarza:

„To była najszczęśliwsza chwila w moim życiu”.

Umieć dać ją komuś to wielkie szczęście i zasługa.

L. Kotarbińska.

PRZYJACIÓŁKI TWEJ CÓRKI

Wiadomo, że dzieci — zwłaszcza młode dziewczęta, ulegają bardzo wpływowi obcym i narażone są na poważne szkody moralne przez ujemne oddziaływanie na nie ze strony koleżanek. Niestety matka często niczego nie widzi, niczego nie wie i wiedzieć nie chce, bo jej się zdaje, że jej dziecko to perła, — to anioł.

Rzecz to nader ważna, jakie przyjaciółki i koleżanki ma twoja córka.

Dopóki dziecko jest w domu, decyduje wpływ matki. Myśli, sposób mówienia, charakter matki odzwierciedla się w córce nieraz całkowicie. Zmiana następuje z chwilą, gdy dziewczę przekroczy po raz pierwszy próg szkolny. Zaczynają wówczas działać wpływy inne — obce. Nie chcę powiedzieć — złe. Mogą one być nieraz lepsze od wpływów matczyńskich, bo matka jest często dla córki tylko rodzicielką nie zaś wychowawczynią.

Nowe wrażenie robią wkrótce swoje. Dziewczynka słyszy, co inne dzieci mówią, jak się wyrażają, dowiaduje się o rzeczach, których w domu wcale nie poruszano. Powoli to, co matka z takim trudem zasiała w serce córki zaczyna więdnąć, zamierać. Natomiast kiełkuje, wzrasta siew obcy. Kąkol zapuszcza zwolna coraz to głębsze korzenie. Dziecko zaczyna inaczej myśleć, inaczej mówić. Następuje zupełna zmiana duszy. Córka nie widzi już w tobie matki, nie widzi serdecznej powierniczki, przed którą ze wszystkim zwierzyć się może. Stajesz się dla niej osobą, do której udaje się jedynie, gdy czegoś potrzebuje: książek, ubrania, bielizny, pieniędzy...

Najniebezpieczniejszy to okres dojrzewania. Jeżeli już w pierwszych latach szkolnych tak doniosłą rolę odgrywają ukryte, czasem zupełnie niedostrzegalne wpływy najbliższego otoczenia, czy to w kierunku dobrym, czy złym — to w okresie dojrzewania stają się one wprost wszechwładne i groźne. Gdy młode serce zaczyna się chwiać, gdy młodociana osoba nie wie jak sobie radzić, gdy dziś wydaje się jej prawdą, co jutro trzeba będzie zarzucić, gdy tajemnice życia nasuwają się jej same przed oczy i żądają rozwiązania i wyjaśnienia, gdy po raz pierwszy odzywają się siły pociągające ją ku płci drugiej — wówczas dziewczę szuka gdzieś oparcia, pociechy, zrozumienia.

Nadmiar uczuciowości, potrzeba wypowiedzenia się wymagają osoby, którejby można powierzyć tajemnice serca, pragną mieć istotę, która podobnie czuje i podobnie ma tęsknoty i potrzeby. Stąd — to pochodzą owe marzenia, kształtujące się nazewnatrz w dziwne nieraz i nader czułe formy przyjaźni, które zwykle długo nie trwają i ustępują, gdy jakaś inna miłość zaczyna serce ogarniać.

Szczęśliwa matka, której dziecko w tych latach przełomowych uważa za swoją najlepszą przyjaciółkę! Nie potrzebuje ona obawiać się obcych wpływów, dopóki powierza jej ono wszystkie swe drobne tajemnice, marzenia, nadzieje, — dopóki przy jej sercu współczującym i umiejącym zachować tajemnicę szuka i znajduje ukojenie. Ma ona wtedy możliwość pocieszyć swą córkę, napomnieć ją, przestrzec, zwrócić jej uwagę na rzeczy niebezpieczne, pouczyć, uświadomić i przystosować na drogę, którą uważa dla niej za najlepszą.

O wiele trudniej jest wtedy, gdy córka stroni od matki, gdy ukrywa przed nią swe myśli, swe tajemnice, gdy staje się wrażliwa, nieprzystępna. Wówczas nie chodzi już napewno o jakąś niewinną tylko marzycielską przyjaźń.

Takim wpływom musi się matka oprzeć stanowczo i energicznie. Ona bowiem będzie przed Bogiem odpowiadać za duszę swego dziecka.

Pewno, że dzieci potrzebują w wieku dojrzewania dużo miłości, ciepła i wyrozumienia, ale potrzeba też stanowczości i energicznego postępowania podług zasad wiary. W przeciwnym razie złe zarodki wezmą górę i na zawsze podkopią spokój i szczęście twego dziecka.

Matka powinna przede wszystkim pilnie uważać na przyjaciółki, z którymi córka obcuje. To, że pochodzą z dobrej rodziny, są uprzejme i grzeczne i potrafią się dobrze zachować — jeszcze nie wystarczy. To wszystko nie daje gwarancji, że córka twoja znajduje się w dobrym otoczeniu. Trzeba śledzić skutki tych przyjaźni. Skutki ujemne dadzą się nieraz bardzo łatwo odkryć. Jeżeli n. p. córka zachowuje się tak, że ani temperament, ani zwykłe wady charakteru, ani młody wiek nie wytłumaczą dostatecznie jej postępowania, to już napewno nie jest coś w porządku.

Cóż pomoże dobre wychowanie, dobry przykład matki, jej upomnienia, jej prośby — jeżeli poza jej oczyma działają wpływy obce, wiodące jej dziecko na bezdroża? Nie jedna już matka z zdziwieniem i trwogą spostrzegła, niestety zapóźno, zbliżającą się katastrofę i z bólem musiała później patrzeć na szczątki dziecięcej niewinności swej córki. Co się stało? Skąd się u niej zło wzięło? Matko droga, ty posiałaś dobre ziarno w duszy dziecka, modliłaś się, przestrzegałaś je i napominałaś — ale nie czuwałaś nad jej otoczeniem.

Uważaj tedy pilnie na przyjaciółki swej córki. A jeśli ona staje się obraźliwą, wymagającą, upartą, zastanów się bardzo sumiennie, czy nie winny temu właśnie jej koleżanki. A gdybyś widząc zło, nie miała na tyle odwagi, żeby mu odpowiednimi środkami przeciwdziałać, — to ci powiem, że jesteś może dobrą gospodynią, dobrą panią domu — ale dobrą matką nie jesteś!

I żebyś wiedziała, jak poważnie zapatrują się na tę sprawę osoby doświadczone, przytoczę tutaj słowa matki, która praktykując przez długie lata jako lekarz, miała dość sposobności przekonać się o wpływach i skutkach złych przyjaźni.

„Może matka wyrzec się wszelkich wygod, pracować, cierpieć, wyniszczyć się do ostatka, oddać wszystko swym dzieciom, ponieść największe ofiary, — jedna zła przyjaciółka zniszczy jej pracę, jej zabiegi, jej dzieło życia — w kilku tygodniach, zniszczy wszystkie starania czynione przez cały szereg lat. Zła przyjaźń, to znaczy przyjaźń, która ciągnie w dół, która odwraca serce z drogi posłuszeństwa, obowiązku, wierności, sumiennosci — to zło, to choroba, to zaraza gorsza niż śmierć. Bo to, co złe towarzystwo zatruło i zniszczyło, bardzo rzadko wraca do życia. Gdyby wypadło wybierać dla dziecka między złym towarzyszem, a śmiercią, stanowczo należałoby wybrać śmierć. Nie zabiera ona tyle, co zły towarzysz”.

MORZE

Jedyną furtą, która nam daje wyjście na cały wielki świat — to jest nasz port: **Gdynia**.

Ale jedyną także furtą do której się wkrada wróg — aby zatamować szybkie tętno naszego na morzu rozwoju — to znów: **Gdynia!** Otwieramy w tej chwili, stałą rubrykę w naszym „dziale kobiecym”, aby notować pracę świeżo zorganizowanej „Sekcji kobiecej” przy „Lidze Morskiej i Kolonjalnej” i zwracać uwagę naszych Szanownych Czytelniczek na ten dział, który nam wszystkim musi i powinien być dobrze znany, otoczony naszą opieką, czujnością i zbiorowym w tym dziale wysiłkiem.

Zapisujcie się Panie na członkinie „Sekcji Kobiecej” przy L. M. i K. z tem przekonaniem, że z małych wysiłków zbiorowych — powstają wielkie dzieła, z małych datków rosną wielkie sumy.

Każdy grosz dany na cele prac w Lidze Morskiej i Kolonjalnej, to spełnienie jednego z najpilniejszych obowiązków dobrego obywatela.

Składka członkowska kosztuje 1 zł., wpisowego i 1 zł. miesięcznie, za co otrzymuje się co miesiąc numer pisma ilustrowanego p. t. „Morze”, doskonale redagowanego i otwierającego nowe horyzonty dla naszej myśli. Zapisy przyjmuje codzień sekretarka L. M. i K. na Nowym Świecie 35, od 10-ej do 3-ej.

Legitymacja członkowska daje znaczne ulgi na statkach i na kolei, o ile się jedzie do Gdyni.

Nie wątpimy, że wśród naszych Sz. Czytelniczek, znajdziemy chętnie szeregi kobiet, chcących pracować dla pomyślnego rozwoju spraw związanych z nowym **polskim Morzem**.

L. K.

ZWIĄZEK PAŃ DOMU — NOWY ŚWIAT 9

przyjmuje paczki — dla najbiedniejszych.

Piękna odezwa p. Izy Mandukowej, inicjatorki i przewodniczącej, jednego z najpożyteczniejszych stowarzyszeń: „Zw. Pań Domu”, zamieszczona w „Kurjerze Warszawskim”, musi być powtórzona w pismach kobiecych, lub mających działy dla kobiet przeznaczone, bo wtedy głos Jej najśladniej wyda dobre rezultaty. „Czasy są takie, że musimy się dzielić, pisze p. Mandukowa. Na pierwszy ogień muszą iść przedmioty niepotrzebne, a może niezadługo i z potrzebnych wypadnie nam oddawać mniej potrzebne, aby ratować człowiek człowieka, rodzina — rodzinę.

Gdybyśmy w naszych domach, w zakamarkach, w kufrach, w szafach i t. p. rupieciarniach przesukały, to ileż znalazłoby się starych butów, pantofli, kapeluszków, krawatów, bielizny i t. p. drobiazgów, najniepotrzebniej zajmujących miejsce.

Nie odkładajmy więc tego do jutra, ale zabierzmy się zaraz do takiego przeglądu domowego, a niezawodnie znajdziemy jeszcze dużo drobiazgów, które dla biedaków będą dużą pomocą, a przedewszystkiem dadzą im otuchę moralną, że ktoś choć troszkę, choć czasami o ich niedoli pomyślał”.

Co dzień, od godziny 10 do 14, są przyjmowane w „Związku Pań Domu”, Nowy-Świat 9. paczki lub adresy ofiarodawczyń, do których chętnie się pośle po dary dla najbiedniejszych. Wszystkie nasze Szanowne Czytelniczki, zachęcamy do wzięcia udziału w tej zbożnej a tak niezbędnej dziś akcji, która niejednego uchroni od rozpacz. Cóż to za szczęście otrzeć choćby jedną ludzką łzę.

K.

CO ZANADTO — TO NIEZDROWO

Doczekały się nareszcie te wszystkie panie, które hołdując ślepo modzie, niewiedzieć czasem **przez kogo**, nakazywaną, dekolują się, to z przodu, to z tyłu do pasa, niechowając oczywiście ni ramion, ni rąk — że, oto: ni mniej, ni więcej, tylko sam „**Sęk**”, ten wytworny i w formie i w słowie i w dowcipie i w wyborze kobiet i w towarzystwie — pisarz — mówi: w „Kurjerze Warszawskim”. „Owóż i ja zabiorę teraz głos, a powiem wam, piękne panie, prawdy rewelacyjne i straszne.

— Słuchajcie:

1) To nieprawda, że widok niewiasty, obnażonej do pasa, wprawia nas, mężczyzn, w nieziemski zachwyty;

2) To nieprawda, że pracowite (i bezskuteczne) szukanie w tańcu miejsca bodaj odrobinę szatką przykrytego, sprawia nam, mężczyznom, żywą satysfakcję;

3) Prawdą natomiast jest, że nadmiar nagości obraża, faktycznie obraża, naszą męską wstydlivość.

4) I prawdą jeszcze jest, że dotykanie w tańcu gołych łopatek, itd. sprawia nam nietylko przyjemność, ile raczej przykreść.

I czemu dopuściły nasze kobiety do takich słów prawdy — i to jeszcze od młodego człowieka, który na ostatek dodaje:

„Czy nam się podobają „Absolutne Dekolty?”.

— Absolutnie nie.

I co mają na to do powiedzenia kobiety? M.

TECHNIKA HAFTÓW LUDOWYCH

Hafty ludowe w Polsce, we wszystkich jej zakątkach odznaczają się nadzwyczajną logiką w ułożeniu wzoru.

Składa się na to nietylko znajomość wzorów przechodzących z pokolenia na pokolenie, lecz przedewszystkiem sposób wykonania całokształtu.

Niejednokrotnie próbowano już wzorów ludowe, np. huculskie, wykonywać ścięciem gobelinowym lub płaskim, całość wypadła jednak zupełnie brzydko, nić nie pokrywała tkaniny i nie wykonywała odpowiednich zwrotów.

Technika w hafcie, to prawo obywatelstwa, to ce-

cha, której zmienić nie wolno, gdyż w przeciwnym razie popełnia się błąd przeciw prawdzie historycznej. Jeżeli ktoś ma w duszy umiłowanie haftu ludowego, niechże stara się zapoznać z jego techniką, a wówczas zrozumie, że każdy haft ma swą właściwość w ukła-



Podbródki dziecięce.

dzie, wykonaniu i w barwach. Np. hafty w okolicy Lwowa, Chodorowa, Dawidowa mają oryginalne brzegi kresek przy koszulach kobiecych, wykończone ząbkami z kółek dzierganych, w kolorach czerwonym, niebieskim, żółtym. Układane są po trzy kółka w jednym kolorze, ponad nimi zaś umieszczone są gałązki, wykonane ścięciem płaskim. Zestawienie tych kolorowych kółek i gałązek jest bardzo ładne i łatwe. Kółeczko dziergane jest od środka w jednym punkcie, wskutek czego powstaje dziurka, tworząca ażurowa całość.

Wzór ten stosowany jest bardzo do ozdoby fartuszków dla dziewczynek, lub podbródków dziecięcych.

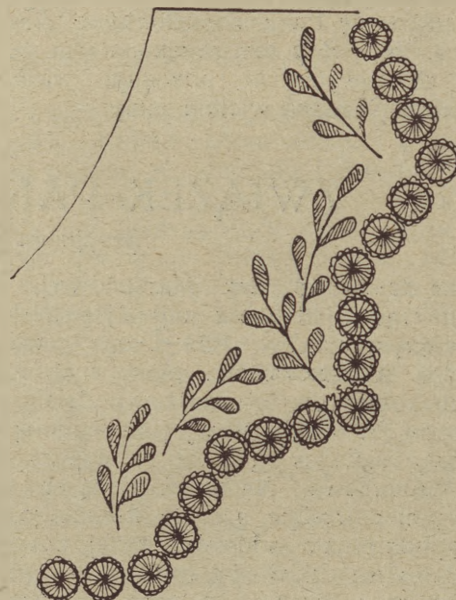
Podajemy w rysunku taką dziewczynkę w fartusku z białego płótna z haftowanym wykrojem koło szyi, wykończeniem u dołu, oraz kieszonką. Wymiary zależne są od wielkości dziewczynki.

Podbródki, zwane obecnie „śliniaczkami“, co nie brzmi wcale estetycznie, mogą być wykonane z płótna litewskiego, z barchanu, lub piki. Stosownie do grubości materiału dobierzmy grubość nici. Do płótna weźmy najlepiej bawełnę z polyskiem, firmy D. M. C. Nr. 16, do barchanu lub piki stosowniejszy będzie Nr. 12.

Podbródki zapinają się z tyłu na karczku na guziczek, największy zaś wiąże się jeszcze w pasie z tyłu na tasiemkę.

Podbródek taki związany z tyłu chroni dostatecznie i sukienkę niemowlęcia i łatwy jest do wyprania.

Bawełny do haftu wyrabiane przez firmę D. M. C. koło Paryża mają wielką wartość, nie puszczają bo-



Wzór z Dawidowa pow. Lwów.

wiem w praniu, nie kurczą się w gorącej wodzie i mają bardzo piękny połysk. Jest to bardzo ważny szczegół w użyciu niepuszczających materiałów na ubranie dzieci, które mają tendencję brania wszystkiego do buzi, nawet podbródka, fartuszką, lub sukienki.

Nie żałujmy pracy przy zdobieniu haftem ludowym ubrań dziecięcych, starajmy się budzić od zarania zamiłowanie dzieci do haftów ludowych, ażeby z czasem wzrastała w nich życzliwość do wszystkiego „co swojskie, co nasze“.

Marja Stefkowa.

NA ŻĄDANIE JEDNEJ Z NASZYCH SZAN. CZYTELNICZEK DAJEMY „OSZCZĘDNE PRZYJĘCIE”

Na imieniny zazwyczaj nikogo się nie prosi, nigdy też nie wiadomo, czy i ile osób zostanie na kolacji. W takich wypadkach najpraktyczniej jest urządzić zimny bufet, którego ramy w miarę możliwości i pomysłowości pani domu można rozszerzać. Zaznaczyć jednak trzeba, że nie nadmierna ilość, ale jakość przyrządzonych potraw i ładne ich podanie stanowi o wartości zimnej kolacji. Czasy ciężkie więc „wedle stawu grobla“, a nawet lekarze higieniści nie zalecają objadania się na noc.

Stół, nakryty ładnym obrusem, ustawiamy tak, by łatwy był dostęp do niego ze stron wszystkich. Na dwu rogach ustawić należy talerzyki jeden na drugim, położyć obok widełce, noże i serwetki, jak dziś używane — bibułkowe. Kwiatek zawsze stół ozdobi. A na stole rozstawić salaterki, sałatek kartoflanych lub jarzynowych. Galaretkę z mięsa lub ryby,

wędlinę apetycznie ułożoną na półmiskach. Na osobnych półmisekach parę ogórków obranych i wzdłuż pokrajanych, jajka na twardo, poprzekrawane na pół, do nich sos musztardowy, tartinki ułożone na kilku talerzach i bufet gotowy. Należy pamiętać o ustawieniu kilku solniczek, octu, oliwy, musztardy, chrzanu itp. dodatków w małych naczyniach. Jeśli koniecznie chce się podać coś ciepłego, można podać barszczyk w filiżankach, co zawsze smakuje. A kiedy już bufet opróżniony podaje się herbatę, czarną kawę, ciasteczka.

Tartinki najlepiej robić jednolite, mniej koło nich pracy, tak małe, żeby każdą z widelca można wziąć całą do ust. Długą bułkę otrzeć na tarce ze skórki, pokrajać na małe cienkie kawałki, smarować masłem. Dopełnione siekaną szynką, serem, usiekanym jajkiem, masłem śledziowym, pasztetem wybornie smakują. Układa się je płasko na tackach

lub na kilku talerzach i rozmieszcza w różnych miejscach stołu. Jeśli chce się podać śledzie, to trzeba pokrajać małe kawałeczki razowego chleba, posmarować masłem, ułożyć na nich po pół dzwonka śledzia, obranego starannie z ości i znów ułożyć na osobnych tackach.

Na sos musztardowy bierze się 4 łyżki śmietany i 1 łyżkę musztardy. Mieszać dobrze, ubić łyżką, przysolić i przysłodzić do smaku, a do zimnych przekąsek, wybornie powinien smakować.

Y.

CO TRZEBA ZARAZ ZROBIĆ W SPRAWIE MODY?

Wszystkie zeszlenczone letnie rzeczy, należy, wyjąć ze schowania. Jedno dać do pralni chemicznej, co można, w domu luksem wyprać. Wiele rzeczy da się odświeżyć, przerobić, z dokupieniem harmonizującego materiału, ze starych — zrobić zupełnie nowe.

Pani Well, która bacznie śledzi modę, upewnia, że będą modne bluzki różnego typu, że nawet do spodniczek gładkich, wąskich lub nieco kloszowych, dobrać można materiał w kratki czy paski — na żakiet. Żakiety będą luźne i paita wiosenne nie nazbyt obcisłe. Kolory różnych tonów granatowe aż do niebieskich, fioletowe, w których wszystkim jest do

twary, także niewychodzą z mody. Małe kapelusze, każda z pań sama sobie może robić, co zawsze taniej kosztuje. Ale, ponieważ niema ani wielkich zmian, ani odskoków od obecnej mody, która często bywa bardzo ładna, więc zeszlenczone, niedonoszone rzeczy, po gruntownym odświeżeniu — doskonale będzie można nosić.

Kieszonki nie dozna cierpień. Ustrzeże od — rat — tego wroga spokoju i da więcej pomysłów do wycieczek zamiejskich, poznania rozkoszy — spaceru po Wiśle — *kajakiem* — choćby na razie najętym, i wprowadzi — *humor* — tę doskonałą doprawę — do życia.

L. K.

CO ROBIĄ NASZE KOBIETY?

„*Koło Pań Ligi Obrony Powietrznej Państwa*”, pracuje od wielu lat z niebywałą energią.

W tej chwili, obrona przeciwgazowa, która jak ponure widmo, zjawia się zawsze wraz z grozą wojny — jest głównym celem ich starań i zabiegów. Dlatego postanawia niezależnie od ciągle i stale działających kursów, mających za zadanie uświadamianie ludzi, jak mają się chronić przed gazami trującymi — *ukończyć budowę cywilnej szkoły obrony przeciwgazowej*.

Zadanie trudne w tych czasach zwłaszcza, ale niezbędne do zrealizowania. Znow nawoływać należy do wspólnych wysiłków, które — nie zawiodą w tak ważnej sprawie.

„*Zjazd Pań Domu*”, odbędzie się w Warszawie w dn. 21, 22 i 23 marca r. b. przy udziale delegatek z prowincji, za-

przyjaźnionych zrzeszeń oraz osób zasłużonych w pracy nad racjonalnym zorganizowaniem gospodarstwa domowego.

Prócz spraw ściśle organizacyjnych, program zjazdu obejmuje dwudniową konferencję na tematy gospodarze, między in. zaopatrzenie rodziny miejskiej w dobre produkty, przede wszystkim w dobre mleko. Konferencja ta będzie miała na celu wciągnięcie pań do pracy w instytucjach, które swym wzorowym funkcjonowaniem przyczyniają się do dobrego zorganizowania domu i zaopatrzenia go w produkty dobre, zdrowe i tanie. Panie domu mogą bowiem i powinny mieć wpływ dodatni na polepszenie gospodarki żywnościowej oraz higieny miasta itp.

Uczestniczki zjazdu mają zapoznać się z konkursem sprawności prac domowych, który w tym czasie urządził ma Rada naczelna gospodarczego wykształcenia kobiet. M.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. M. I. — „*skrzętej gospodyni*. W doskonale zredagowanej książce p. t. „*Książka rachunkowa i informacyjna-gospodarcza kobiety współczesnej*”, znajdzie pani, między innymi praktycznymi wskazaniem — także i wszystkie wymienione środki, w które powinna być zaopatrzona apteczka domowa, nietylko na wsi, ale i w mieście. Książka, której rubryki wybornie pomagają nam do zorientowania się i ustosun-

kowania naszych wydatków, kosztuje tylko 1 zł 50 gr. Zwrócić się Pani o nią może do Redakcji „*Kobiety Współczesnej*”, Koszykowa 44. Warszawa.

P. *Wacławie Mart.* z *Siedlec*. Zapis na członka Ligi Morskiej i Kolonjalnej może łaskawa pani skutecznie listownie, adresując wysyłkę: Warszawa Nowy-Świat 35. „*Sekcja Kobieta*” przy Lidze Morskiej i Kolonjalnej.

NOWOCZESNE SPOSOBY LECZENIA RADEM

Podstawą nauki o działaniu promieni jest odkrycie, dokonane przez małżonków Piotra i Marię ze Skłodowskich Curie, polegające na oddzieleniu radu od połączonych z nim składników. Niezwykle właściwości radu, jego zdolność promieniowania i wytwarzania energii cieplnej zjednały mu w medycynie odpowiednie miejsce. Promienie wytwarzane przez promieniotwórcze substancje są trojakiemu rodzaju, a mianowicie: promienie alfa, beta i gama. Ustalono, iż promienie alfa są naładowane elektrycznością atomami helu, które są wyrzucane z szybkością 13.700 klm. na sekundę. Promienie beta odpowiadające katodowym promieniom Rentgena są negatywnie naładowane elektronami, które osiagają prawie szybkość promieni świetlnych i posiadają znacznie większą własność przenikania od promieni alfa i przechodzą z małym osłabieniem przez drzewo, metale itd. Promienia gama w końcu są promieniami Rentgena o wyjątkowej sile. Ich właściwość przenikania jest tak wielka, że dopiero płyta aluminiowa o grubości około 6 cm. może jej siłę o połowę zmniejszyć.

Przy rozkładzie radu tworzy się prócz helu nowy element: emanacja radu t. j. promieniotwórczy gaz, który roz-

padując się z kolei wytwarza promienie. Przez swój potężny wpływ na żywą tkankę stał się dziś rad dla lekarzy niezbędnym.

Dla leczenia złośliwych nowotworów stosuje się większe dawki radu.

W ostatnim czasie wyrabiane są pod kontrolą kompetentnych władz kompresy radowe z rudy uranowej jachimowskiej, w Jachimowie (St. Joachimsthal). Kompresy te o trwałej promieniotwórczości zawierają równomiernie rozmieszczone małe dawki radu i służą do leczenia w szpitalach i lecznictwa domowego.

Bardzo wysoka cena radu tłumaczy się trudnością jego izolacji od połączonych z nim pierwiastków. Z dziesiątek wagonów rudy uranowej można otrzymać zaledwie 1 gram radu. Proces ten wymaga prawie trzechletniego okresu.

Naświetleniem małymi dawkami radu leczy się rozliczne choroby chroniczne, szczególnie reumatyczne, schorzenia stawów, tudzież owe neuralgiczne choroby przy których inne środki terapii zawiodły.

Dr. H. P.

Na malej skalistej wysepce stała wysoka latarnia morska. W nocy cichej i nocy burzliwej słała daleko swe światło na morze, jakby rzec chciała marynarzom: „Zeglujcie śmiało — ja czuwam, płynicie śmiało do portu, ja drogę wam wskażę”. W latarni tej na dole była duża izba i mała kuchenka i sionka wąska, z której wysokie drabiniaste schody wiodły na szczyt wieży, gdzie umieszczone były silne lampy z reflektorami, oświetlające morze. W latarni tej mieszkał stary Piotr — latarnik z wnuczką swym Łukaszką. Cicho płynęły im dni. Łukaszek ugaśniał po piaszczystym brzegu, zbierał muszki, które wyrzucały z chłopotem fale morskie. Zabrał go nieraz dziadek z sobą na szczyt latarni, pokazywał mu jak się obchodzić z lampami, jak je czyścić i snuł wspomnienia z lat dawnych, gdy latarnie były jeszcze oświetlane olejem i naftą, a nie jak teraz — elektrycznością. Teraz to ja wielki pan — mawiał — przekręć tylko guzik w ścianie i już się świeci, ale dawniej... ile to było kłopotu z tem zapalaniem, a pilnowaniem, by wiatr nie zgasił, a i ptakami co jak te ómy do światła lecą — choć tego co i teraz się nie odczyły...

— A jakby tak przewody elektryczne się popsuly, to co, dziadku? — pytał Łukaszek.

— Rzadko to się zdarza — ale już raz tak za mojej pamięci było. Ale widział chłopce ja tam stary jestem, niedowierzam tym nowym wynalazkom, więc jak światła zmieniali uprosiłem, że mi zostawili starą latarnię olejną. Widzisz te sznury zwisające na dół. Na końcu umocowana jest stara latarnia, zawsze pełna oleju, wyczyszczona, zapalają ją tylko trzeba, wyciągnąć na sznurach zapomocą tego kołowrotka, ucepścić sznury o hak i gotowe! — ... — To dopiero dziadko mądre wyspekulował — dziwił się Łukaszek.

Innym razem, o szarej godzinie siedzieli przed domem. Łukaszek odłożył książkę i słuchał opowieści dziadka, który za młodych lat był sternikiem i po różnych morzach pływał. — A ot, na stare lata polskiego morza pilnuję — cieszył się stary. — Dziadziu, a dlaczego te latarnie co ich stąd tak daleko widać, każda inaczej się świeci, jedna mruga, druga zapala się i gaśnie, trzecia równym światłem płonie? — pytał Łukaszek. — A widzisz mój chłopce — odpowiadał dziadek — to są znaki dla marynarzy. Jedna latarnia mruga ostrzegawczo: „Uważajcie! Skąły podwodny”. Druga, tak jak nasza, świeci spokojnie i doradza: „Sprawdźcie, czy dobrze płyniecie”, inna zapala się i gaśnie, mówiąc: „Tędy droga do portu, jedźcie śmiało”. Tak to latarnie prawią do żeglarzy.

Raz w tygodniu przyjeżdżała motorówka i przywoziła im żywność, książki i wieści ze świata. A co parę miesięcy zabierał się dziadek powracającą motorówką i jechał do Pucka. Łukaszek zostawał sam. Nie bał się wcale, dziadek wracał zawsze o zmroku, a przez dzień cóż mu się stać mogło? W razie czegoś nieprzewidzianego miał telefon, który go łączył ze światem. Czytał książki, lub przeglądał zbiory dziadka, który wędrując po szerokim świecie nagromadził różne osobliwości. Pewnego pogodnego marcowego dnia wybrał się dziadek znów do miasta obiecując wrócić wieczorem. Łukaszek zaczytał się w książce świeżo przywiezionej i ani spostrzegł jak zmierzchać zaczęło. Porwał się i zaczął na gwałt rozpalać ogień i kolację przygotowywać na przyjęcie dziadka. Wyjrzał przez drzwi, morze szumiało złowrogo. — Będzie burza — szepnął

żegnając się — byle dziadek zdążył wrócić. A choćby nie zdążył, to co! Potrafię przecie latarnię zapalić — pomyślał i nawet w głębi duszy chciał trochę, żeby dziadek nie wrócił. Tymczasem ściemniło się raptownie i przyleciała groźna burza na skrzydłach wichru. Rozszalało się morze. Trzęsła się wieża w posadach. Łukaszek mocując się z wiatrem zatrzasnął drzwi i po omacku zaczął szukać kontaktu na ścianie. Namacał. Przekręcił. Jasne światło zaalało izbę. Odetchnął. Trzeba będzie latarnię zapalić — pomyślał — podchodząc do piecyka, by podsyć ogień. Wtem światło zgasało. Połączenie przerwane — pomyślał Łukaszek i obijając się o meble skoczył do telefonu. Napróżno dzwonił — telefon nie działał. Namacał pudełko zapalek i zaświecił małą lampkę naftową, którą przerny dziadek chował za kominkiem. Jakoś się chłopcu rażniej zrobiło na duszy. Za oknami ryczało morze, spiętrzone fale bily w podstawę wieży, świstał wicher niesamowicie. Łukaszek przeżegnał się i szeptać począł: „Kto się w Opiekę...” — Boże, zlituj się nad żeglarzami — westchnął. Wtem przypomniał sobie o latarni oliwnej, pokazywanej mu przez dziadka. Trzeba iść — pomyślał chłopczyca. Oslaniając ręką lampkę, wyszedł do sieni i znalazłszy latarnię, zapalił ją według wskazówek dziadka. Świeciła jasno — ale teraz przyszło najgorsze — wyciągnął ją na górę. Po trzeszczących schodach wyszedł na szczyt wieży i przed kłapą zasłaniającą wejście na górę zatrzymał się trwożnie, odetchnął, przeżegnał się i wyszedł na ganek. Wicher uderzył w niego z potworną siłą. Zachwiał się na nogach. Ani chybi porwie mnie — pomyślał. Niedoczekanie jego! — zaciął się. Wsparł się o podnóże latarni i zaczął kręcić małym kołowrotem, ciągnąc latarnię oliwną w górę. Straszna to była praca. Wiatr szarpał Łukaszką, korbą wymykała się z rąk martwiących z zimna, a strach szeptał mu okropne rzeczy. Ale dzielny chłopak nie uląkł się. Opierał się siłą wichru, kręcił korbą i wreszcie latarnia wynurzyła się z otworu, jeszcze parę pociągnął i zawisła u szczytu. Łukaszek zziębnięty do szpiku kości, przekonawszy się raz jeszcze, że latarnia jasno płonie spuścił się na dół. Jak zszedł ze schodów nie pamiętał. O świecie powrócił dziadek i znalazł go śpiącego u stóp schodów. Pierwsze słowa zbudzonego chłopca brzmiały: — A latarnia się pali? — Świeci się jasno, choć biały dzień już — odpowiedział mu głos obcy. Zdziwiony Łukaszek rozejrzał się i zobaczył, że oprócz dziadka, stało jeszcze koło niego dwóch oficerów marynarki. Zaprosił dziadek wszystkich do izby i tam Łukaszek opowiedział dzieje ubiegłej nocy. A potem dziadek opowiadał o swej rozpacz, gdy nie mogąc powrócić, dowiedział się o zepsuciu przewodów elektrycznych. Na zakończenie starszy z marynarzy zwrócił się do Łukasza: — Tobie chłopce zawdzięczamy szczęśliwe dopłynięcie do portu — i obaj uściśli mu dłoń. Posiedzieli jeszcze chwil kilka, wypytując o to i owo Łukasza i notując niektóre szczegóły. Po odjeździe gości Łukaszek rzucił się na szyję dziadkowi: — Dziadziu! Słyszałeś! W gazecie o mnie napiszą! — ale dziadek odsunął go od siebie i patrząc bystro w oczy chłopcu, położył mu dłoń na ramieniu i powiedział głosem drżącym od wzruszenia: — Nic to chłopcze, będą pisać o tobie czy nie będą najważniejsze, że spełniłeś swój obowiązek.

H. Rostafińska-Choynowska.

NA ŚWIĘTEGO GRZEGORZA.

Na świętego Grzegorza
Płyną lody do morza,
Już słończko się śmieje
Daje wiosny nadzieję.
Chociaż śnieżek przypruszy
Wcale nas to nie wzruszy,
Bo ten śnieżek marcowy,
Zaraz stopnieć gotowy.
Marzec zawsze przeplata
Trochę zimy i lata,
Więc choć dmucha wicherzysko,
Mówim: wiosna już blisko.

H. R. Ch.

WIERSZYK DO ZGADYWANIA.

Przeszło lato pełne krasy,
Już skończyły się
(wyuczasy)
Do szkół rzesza dzieci wraca,
Bo zaczyna się już
(praca)
Każdy wiedzy chętnie szuka,
Boć potrzebna jest
(nauka)
I młodemu i starszemu —
Przyda się w świecie
(każdemu).

SZCZĘŚĆ Boże.

Pachnie ziemia rozorana
Świeżym pachnie chlebem,
Dzwonią piosnki skowronkowe,
Wysoko pod niebem.
A za plugiem, za oraczem
Skacze czarna wrona,
I pędraków w skibach szuka —
Srodze wygłodzona.
„Szczęść wam Boże” pracownicy
Na tej czarnej roli,
Niech stokrotne plony ziarna
Bóg wydać pozwoli.

H. R. Ch.



ROZRYWKI I UMYŚLÓWE



POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

ZAKOŃCZENIE

I KONKURSU KWARTALNEGO.

Termin nadsyłania rozwiązań trzytygodniowy, licząc od daty otrzymania numeru.

7. SZARADKA. (2 pkt.)

Kocham ciebie drugie-trzecie *)
Piękny zawsze w zimie, w lecie,
Kocham ciebie pierwsze-drugie,
Chlebne łany, niwy długie
W chabry maki ustrojone,
Runią zboża umajone.
Kocham całe boć to nasze,
Było, jest i będzie lasze.

*) trzeci.

H. Mokrzycka, czł. Kl. Sz.

8. KONIKÓWKA (2 pkt.).

ŚMIE	WSZE	KTO	CZA	SŁO	ZWY
TEN	■	JE	CIE	■	KI
ZA	SIĘ	PŁA	WAC	CYCH	ŻA

Ruchem konika szachowego należy odczytać pewną sentencję, oraz nazwisko jej autora.

E. Wieliczko, czł. Kl. Sz.

9. ZAGADKI. (po 1 pkt.)

a) Choć istota to nieżywa,
Lecz po wodzie lekko pływa, —
A choć się wywróci,
Cały zawsze wróci...
Tak wywracaj go — lub wspak,
Nie zmieni się jego znak.

b) Wciąż na polu stoi,
rękami wywija,
A im jest mu chłodniej —
tem się raźniej zwija...
Nie śpiewa, nie tańczy,
ani się weseli, —
Lecz pracuje ciężko,
byście „papu” mieli!

c) Wprost jest wszędzie,
w całym świecie,
Wspak — wyrzucasz
go na śmiecie.

M. Waksmundzka, czł. Kl. Sz.

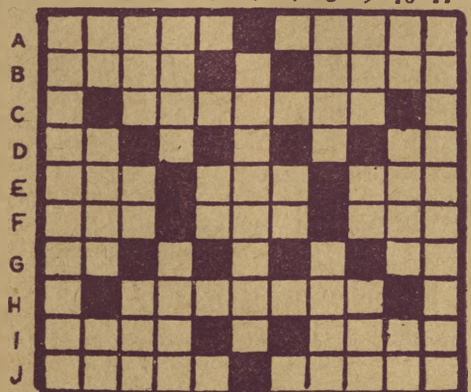
10. KRZYŻÓWKA. (5 pkt.)

Wyrazy pionowe:

1. Nazwisko poety polskiego.
2. Znak chem. emanium. — Odlecanie (upłynięcie). — Skrót miary powierzchni.
3. Miasto w Afryce. — 1050. — Członek wyższej szlachty w Anglii.



1 2 3 4 5 6 7 8 9 10 11



4. Lont. — Wartość pieniężna.
5. Bóstwo po hebrajsku (tylko środkowy wyraz).
6. Nazwisko poety polskiego.
7. Karta (tylko środkowy wyraz).
8. Kończyna dolna (stopa). — Suknia wdziewana przez księżę do mszy.
9. Gat. wierzby. — Inicjały autora pow. „Anioł śmierci”. — Pierwiastek chem.
10. Znak chem. wapnia. — Grobla kamienna w porcie. — Inicjały autora pow. „Banita”.
11. Pierwsza litera imienia i nazwisko poety polskiego.

Wyrazy poziome:

- A. Święte miasto mahometan. — Święty ogień.
- B. Duchowny mahometanski. — Inaczej.
- C. Posadzka.
- D. Przysiółek. — Posiada.
- E. Lewy dopływ Sali. — Matka rodu ludzkiego. — Ptak.
- F. Bóżeł wiatru. — Obszar zadrzewiony. — Zarzy się.
- G. Inicjały malarza i literata polskiego zm. 1923. — Pół dłoni.
- H. Gładka tkanina tania w 1. mn. — I. Wódz u Tatarów. — Niedobór.
- J. Przysiółek. — Pieczywo wielkonożne w 1. mn.

A. Mieczkowski, czł. Kl. Sz.

11. DODAWANKA (3 pkt.).

A (—B) + C (—D) + E (—F) + G (—H) + I (—J) rozwiązane.

Objaśnienia wyrazów:

- A = gdy jest duża, trudno pływać.
- B = w śpiewie zwykliśmy używać.
- C = szukaj nazwę inną „trenów”.
- D = to lesistych zwa terenów.
- E = młodszy go przed starszym mają.
- F = tak spółgłoskę nazywają.
- G = „chwalić” wprost przeciwnie stawia.
- H = ta zaś ściegów znak zastawia.
- I = zwiemy także: ludem, nową.
- J = a to domu generacja.

Sposób rozwiązania:

Od wyrazu określonego literą A należy odjąć wyraz określony literą B, a zostanie sylaba; następnie od C odjąć D — itd. Osiągnięte w ten sposób sylaby, po porządku ze sobą połączone, dadzą rozwiązanie.

Por. E. Kreysler, czł. Kl. Sz.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ

III KONK. KWART. 1932.

zamieszczonych w numerach lipcowym, sierpniowym i wrześniowym „R. P.”, na które złożyły się następujące zadania (z wyszczególnieniem ilości punktów za rozwiązanie):

1. Szarada (L. Ciesielski) 5
 2. Lamigłówka (A. Mieczkowski) 2
 3. Zagadki (M. Waksmundzka) 3
 4. Dodawanka (E. Kreysler) 3
 5. Szarada (L. Ciesielski) 2
 6. Logogryf (S. Cierkosz) 3
 7. Zagadki (St. Millerowa) 3
 8. Szaradki (K. Denasiewicz) 4
 9. Szarada (L. Ciesielski) 2
 10. Wizytówka („Jawnakowa”) 3
 11. Krzyżówka (E. Wieliczko) 4
 12. Zagadki (A. Mieczkowski) 2
- Ogólna ilość punktów możliwych do zdobycia wynosiła zatem: 36.

1. SZARADA:

Przy huku dział prawa milczą.

2. LAMIGŁÓWKA:

P o z i o m o: Lampa — palma, Alma, mapa, Alma wsp., Aa.
P i o n o w o: Mama, plama, ampla, la — Aa.

3. ZAGADKI:

a) Bób. — b) Patron. — c) Zakaz.
Przy rozwiązywaniu pierwszej zagadki niemal wszyscy potknęli się o... kok, który wcale „oka” niema przecież!... Również i w drugiej zagadce niektórzy koniecznie łopatrzyc się chcieli sufitu, co jednak już przedzej wybaczyć można...

4. DODAWANKA.

„Wielka Warszawa”, (Wyrazy: Wielkość, ka — res, war — kocz, sza — belka, wa — liza).

5. SZARADA.

Cierpienia.

6. LOGOGRYF:

Bez Boga ani do proga. (Wyrazy: Tyber, szeik, rozum, rabin, Płock, rygor, tiara, krach, synod, gniew, order, epoka, Gopło, pirat, groza, pegaz, szach).

7. ZAGADKI:

1) Korybut. — 2) Makaran. — 3) Sennik, siennik.

8. SZARADKI:

1) Złoto. — 2) Polesie.

9. SZARADA:

Przykry kryzys.

10. BILET WIZYTOWY:

Protonotaryz at apostolski.

11. KRZYŻÓWKA:

Poziomo: Degenerat, agat, rias, smar, smak, stryjenka.
Pionowo: Pergamota, cent, Rzym, cedr, step, patarafka.

12. ZAGADKI:

1) Misa — sami. — 2) Nil — lin.

LISTA UCZESTNIKÓW

z podaniem ilości zdobytych punktów:
„Argus” Warszawa 36, Czerniawski S. Turmont 5, Denasiewicz K. Drohobycz 36, Herbstmanówna D. Warszawa 35, Ikaniewicz B. Wołkowysk 21, „Jur i Hala” Kresy 36, Jastrzębska Z. Warszawa 34, Klimczak J. Warszawa 36, Klimczak R. Warszawa 36, Kowalska Jawnakowa Warszawa 35, Kozłowska Hanka Warszawa 36, Kozłowski Cz. Warszawa 36, Kozłowski N. K. Warszawa 36, por. Kreysler E. Warszawa 20, „Lili” Warszawa 30, Lilpop K. Warszawa 36, Lopatto J. Warszawa 36, Łukawski J. Warszawa 12, „Maryśka z Pohulanki 36, Mieczkowski A. Wilno 24, Millerowa St. Łęczno 36, inż. Modrzejewski J. Lublin 36, Mokrzycka H. Drohobycz 36, Nubert A. Warszawa 28, Polonczowa Z. Warszawa 36, Reiss J. Złoczów 24, Rutkowska I. Mińsk Mazowiecki 32, Sipowiczówna M. Luniniec 32, Sławnicki T. Królewsczyzna 34, Strubel M. Warszawa 36, Surma J. Królewsczyzna 34, Tietz. Z. Warszawa 36, Turek G. Warszawa 16, Tyblewski R. Piastów 32, Tyblewski W. Poznań 33, Ubiegło Sz. Warszawa 10, Waksmundzka M. Jasło 36, Warszałowa J. Lwów 16, inż. Wieliczko Pińsk 36, Wysoczek M. Warszawa 36, Zaleska M. Warszawa 34, Zielińska K. Warszawa 18, Zychło L. Warszawa 20.

Zgodnie z warunkami konkursu przypady w drodze losowania następującym osobom:

nagrody kwartalne:

p. Jastrzębska Z. Warszawa, książka,
p. Herbstmanówna D. Warszawa, książka,
p. inż. Wieliczko E. Pińsk, kwart. pren.;

nagrody miesięczne:

p. Mieczkowski A. Wilno, książka,
p. Rutkowska I. Mińsk Maz., książka;

nagroda pocieszenia:

p. Ikaniewicz B. Wołkowysk, książka;

nagroda autorska:

p. Ciesielski L. Warszawa, książka.
Nagrody zostaną w najbliższych dniach rozesłane pocztą.

SKRZYŃKA POCZTOWA.

W. P. D-a Opieł. Hel. Środa. — Jedno i drugie doszło w należyтым porządku. Zie byłoby, gdyby ciągle powtarzało się owe „nieraz bywało”...

W. P. Mieczk. Ant. Wilno. Bezpoteżne było „utrapienie” — gdyż nic nie stracone. „Sroga” klasyfikacja rozwiązań nie wszędzie może być stosowana.

HALLO! SZARADZIŚCI! Czy wszyscy już znacie „ROZRYWKĘ” najtańsze pismo miesięczne, specjalnie rozrywkom umysłowym poświęcone? Numer marcowy już wyszedł! Prenumerata kwartalna tylko 2 zł. Adres: Klub Szaradzistów, Warszawa, Kopernika 1. 42 m. 13. Konto PKO Nr. 2048. Żądajcie numerów okazowych!
M. Śl.

Z E ŚWIATA RADJA

„KOCHAM POLSKĘ I JĘZYK POLSKI“.

Piękny list czeskiego radjosluchacza.

Już od dnia, w którym po raz pierwszy przemówiła Rozgłośnia Katowicka, zaczęły nawiązywać się serdeczne węzły radjowe między radjofonją polską a jej coraz liczniejszymi słuchaczami zagranicznymi. Węzły te wzmocniło i rozszerzyło uruchomienie potężnego polskiego Olbrzyma radjowego w Raszynie, którego potężne fale dotarły do najdalszych zakątków świata.

Transmisje piątkowych koncertów symfonicznych i sobotnie audycje chopinowskie zjednały Polsce setki tysięcy stałych zagranicznych słuchaczy, często nawet przyjaciół. Niemałą rolę w tej pokojowej propagandzie polskości odegrały również transmisje nabożeństw, słuchane przez liczne zastępy cudzoziemców, oraz odczyty w językach obcych, przypominające światu o polskim dorobku kulturalnym i gospodarczym. Po każdej takiej audycji napływają pod adresem „Polskiego Radja” dziesiątki listów ze znaczkami pocztowymi wszystkich państw europejskich i pozaeuropejskich. Najgłośniejszym jednak i najbardziej serdecznym echem odbiły się pełne wstrząsającego tragizmu transmisje zwycięskiego powrotu naszych bohaterów przestworzy, ś. p. Żwirki i ś. p. Wigury, po których niemal nazajutrz nastąpiła specjalna audycja żałobna, poświęcona Ich pamięci.

Wśród listów, które w związku z tem otrzymało „Polskie Radio”, na specjalną uwagę zasługuje pełen przedziwnej prostoty i najszlachetniejszego sentymentu list jednego z naszych czeskich radjowych przyjaciół, inż. Henryka Rakosnika. Podajemy go poniżej z zachowaniem pisowni oryginału.

„Praga, dnia 15 września 1932 r. Panowie! Jestem niezmiernie zasmucony zgonem bratniego lotnika, którego sympatyczny głos przed kilkoma dniami słyszałem w Waszym Radju — i nie chce mi się wierzyć, iż tego bohatera Polska już nie ma”.

„Jestem winien napisać Wam kilka słów z podziękowaniem za świetne transmisje audycji, dotyczących obu lotników, zapoczątkowane powitaniem na lotnisku przez olbrzymie tłumy publiczności, pozątem retransmisja z Wilna i dzisiejsza audycja ku czci ś. p. Żwirki i ś. p. Stanisława Wigury. Jak żałobnie myślę dzisiaj, że przed tygodniem był tak olbrzymi entuzjazm na lotnisku, tłumy szalały, zwycięzca nie mógł się dostać k mikrofonu, jakie radosne poczucie, iż jeden z najwybitniejszych lotników bratniego narodu jest zwycięzcą całego Challenge'u. Gdy się tak nie udało naszym lotnikom, mieliśmy tu w Czechach radość z tego doprawdy wielką — aż tu w kilku dni później w drodze z Warszawy do Pragi na meeting lotniczy ginie Ten, którego z taką chęcią dożyliśmy widzieć u nas w Pradze, ale nie udało się nam to — i nasze Radio głosi, iż na Cieszyźnie zgineli obaj lotnicy. Jakiem poczuciem była dla nas ta wiadomość! Było nam tak, jak gdybyśmy stracili naszego własnego lotnika. U nas był Wasz heroj już znajomy i Radio Wasze postarało się o jeszcze większe jego zapoznanie”.

„Dlaczego Wam piszę? Dlatego, iż zakochałem się przed kilku laty do Pol-

ski, do polskiego języka. A kto zapoznał mnie z tem wszystkim? — Polskie Radio to było! Jestem już wiele lat wiernym słuchem Polskiego Radja. Z wielką chęcią zacząłem się uczyć polskiego języka i to co umiem, jestem winien wdzięczyc tylko Polskiemu Broadcastingowi. Kocham Polskę i teraz dowołuję sobie Wam napisać kilku słów szczerych”.

„Proszę, wybaczyć mi, iż mój język polski nie jest bez chyb, ale miałem w pomysłcie pisać w Waszej pięknej mowie. Z najserdeczniejszymi pozdrowieniami i czeskim Nazdar — Wasz Ing. st. Henry Rakosnik”.

Piękny list czeskiego przyjaciela polskiej radjofonji nie wymaga komentarzy. Jest on jednym więcej dowodem, że w żalobie po tragicznym zgonie naszych orłów przestworzy naród polski nie był samotny.

PRAWO KARZE OSTRO RADJOPAJĘCZARZY.

Kto pływa po morzach bez flagi, bez numeru identyfikacyjnego, bez karty morskiej — ten uchyla się od ciężarów ponoszonych na koszty utrzymania portów i urzędzeń nawigacyjnych. Taki żeglarz, pływający na cudzy koszt, musi być ścigany przez prawo. Jest on korsarzem.

Kto przemycza towary, aby uniknąć cła — uprawia nieuczciwą konkurencję, gdyż nie ponosi tych samych, co inni, ciężarów publicznych. I on ścigany jest przez prawo za przemyt.

„Dekownicy” na froncie pracy lub walki orężnej, w rezultacie pasożytują kosztem sumiennych obywateli. Świat współczesny nie zna takiej pozycji jednostki wolnej bez zastrzeżeń od udziału w ciężarach publicznych: kto wykracza poza ramy osobistych uprawnień — ten wkracza w prawa innych obywateli.

Kto korzysta z urzędzeń, za które inni płacą — sam powinien poczuwać się do równego udziału w ciężarach. Inaczej — bez względu na to, jak długo będzie unikać odpowiedzialności wobec własnego sumienia i opinii — od pierwszej chwili będzie korsarzem, przemytnikiem, pasożytem żerującym na owocach cudzej pracy.

Pirat radjowy jest takim samym gwałcicielem prawa, co pirat morski, od którego różni się jedynie w skali swego korsarstwa. Jak to? Inni ponieśli trudy i wydali duże sumy, aby wybudować skomplikowane urzędzenia nadawcze i mieć program na odpowiednim poziomie, a mimo to są tacy, którzy bezprawnie z tych dóbr korzystają.

Nie znamy ściślej cyfry „korsarzy radjowych” korzystających z dobrodziejstwa radjofonji, utrzymywanej z opłat abonamentowych sumiennych radjosluchaczy — wiemy natomiast, że we wszystkich krajach prawo dąży do wytypienia tych „mścicieli pokoju” w eterze.

W ostatnich dniach wzięto się szczególnie energicznie do tępienia radjopajęczarzy w Belgji. Metody, jakie tam w tej akcji zastosowano, możnaby nazwać „wielką obławą”. Słusznie się stało, że przystąpiono do energicznego tępienia tych, którzy korzystali z cudzej kieszeni. Polowanie na belgijskich radjopajęczarzy zaczęło się pod hasłem: „Aby udusić

pieczeń z zająca, wypada go wprzódy upolować”. Poza ewentualnem pozbawieniem wolności i obłożeniem wysokimi grzywnami „zającem do uduszenia” obława belgijska nazywa odbiornik radjopajęczarza.

„Nakrytemu” pajęczarzowi konfiskuje odbiornik, który wędruje do składnicy skarbowej, albo też „konfiskowany” bywa na miejscu, co oznacza, że aparat zostaje uszkodzony tak gruntownie, że koszt odbudowy przekraczałby jego wartość.

Ta właśnie postać represji nasuwa główne wątpliwości. Zjawia się pytanie:

„Czy nie oddziaływałyby bardziej wychowawczo na radjopajęczarza, gdyby skonfiskowane odbiorniki sprzedawano, a za otrzymanym stąd pieniądze, opłacono kartę abonamentową, którą następnie należałoby wręczyć byłemu radjopajęczarzowi”.

Niewątpliwie, taki radjopajęczarz pozbawiony odbiornika, patrząc na dokumentalne stwierdzenie zalegalizowania jego stosunku do radjofonji i całej społeczności radjowej, doszedłby do przeświadczenia, że najrozsądniejszym krokiem, jaki pozostał mu do zrobienia, będzie... zainstalowanie nowego odbiornika. Stojąc teraz na mocnym gruncie legalności, przywykłyby szybko do nowej, spokojnej rzeczywistości.

Akcja zwalczania radjopajęczarstwa w Polsce oparta zostanie w najbliższej przyszłości na nowych zasadach, które znajdują się obecnie w opracowaniu.

„PO GŁOSIE ICH — POZNACIE ICH“.

Jak już donosiły dzienniki radjostacja w Kopenhadze zorganizowała ciekawy konkurs z zakresu psychologii doświadczałnej. Organizatorem doświadczenia, które, jak się zdaje przysporzy zarówno radjofonji, jak nauce, wiele cennego materiału, jest profesor uniwersytetu kopenhaskiego dr. Edgar Robinsen.

Treścią konkursu było określanie przez radjosluchaczy głównych cech charakteru speakerów duńskich, na podstawie zasłyszanego przez radio głosu. Dotychczas do Kolegium Konkursowego w Kopenhadze napłynęło około półtora tysiąca odpowiedzi na szereg pytań pod ogólnym tytułem „Poznaj, kto mówi”? Istotnie, znaczna ilość odpowiedzi potwierdziła przypuszczenie profesora psychologii, że z głosu słyszanego przez radio można określić główne cechy charakteru mówiącego. Najwięcej trafnych odpowiedzi nadeszła radjosluchaczce duńscy w odniesieniu do osoby jednego ze speakerów, którego opisano jako człowieka „twardego”, nawykłego do spełniania i dawania rozkazów. Istotnie, ocena wypadła trafnie: speakerem tym jest były kapitan lotnictwa wojskowego.

Ciekawy ten konkurs żywo przypomina niedawną, niezmiernie podobną do kopenhaskiej, imprezę konkursową pod hasłem „Zgadnij, kto śpiewa”? zorganizowaną przez stację warszawską „Polskiego Radja”. Jak wiadomo, konkurs ten zainteresował olbrzymie koła radjosluchaczy polskich.